

DLACZEGO?

W kołach uchodźczych nie przestaje pojawiać się od czasu do czasu pytanie, wynikające z porównania stosunków politycznych i gospodarczych, jakie panowały w Polsce, ze stosunkami angielskimi, lub z bijącą w oczy zamożnością niektórych innych krajów, do których nas zawiodły losy wojenne. Dlaczego u nas inaczej? — Niedawno pytanie takie stawiał korespondent "Polski Walczącej", opisując Bombay. Jeszcze inni, mówiąc językiem naszych mesjanistów, pytają, dlaczego Polska jest ciągle "Chrystusem narodów"?

Przez trzy przeszło lata naszego pobytu w Anglii słyszeliśmy i czytaliśmy różne refleksje przy poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie. Zastanawiano się m.in. nad tym, kto powinien być "mózgiem narodu", czy rząd, czy też raczej jakiś bliżej nieokreślona "warstwa świadoma społeczeństwa." Wypowiadano przy tym szereg mniej lub więcej trafnych uwag, jak n.p., że "mózgiem narodu nigdzie nie jest i nie może być biurokracja, oraz że wielkie i cenne cnoty żołnierskie narodu polskiego leżą na innym polu, niż cnoty mądrości politycznej czy gospodarczej, których u nas jest niewątpliwie niedostatek.

Nie brak na szczęście jednostek, które radzą nam badać tajemnice wielkości i potęgi Anglii. Należał do nich także ś.p. gen. Sikorski, który w jednym ze swoich ostatnich przemówień podkreślił z żalem lukę, jaka istnieje w społeczeństwie polskim, na skutek braku odpowiednio licznej warstwy kupieckiej. Mianem "kupców" określił gen. Sikorski tę warstwę przemysłowców i przedsiębiorców anglosaskich, którzy własną inicjatywą i wysiłkiem zorganizowali nie tylko potęgę gospodarczą Anglii, ale także życie gospodarcze przeszło połowy cywilizowanego świata.

Jeżeli się mówi z Anglikami o cnotach potrzebnych w życiu politycznym, gospodarczym i społecznym, to Anglik najczęściej odpowiada, że do organizowania życia politycznego i gospodarczego kraju i kierowania nim nie wystarczy tak zwana inteligencja, jeżeli nie jest uzupełniona zdrowym rozsądkiem /common sense/. Pozbawioną tego "common sense'u" inteligencję Anglik uważa nawet za szkodliwą, bo niszczycielską, ponieważ odznacza się pomysłami nie liczącymi się ani z doświadczeniem, ani z rzeczywistością, ani z prawami nią rządzącymi.

Historiozof amerykański Adam Brooks twierdzi jednak, że w każdym społeczeństwie młodym przeważa człowiek wyobraźni /homo imaginativus/, który wydaje m.in. artystów, poetów i żołnierzy. Brooks dopatrywał się już 40 lat temu objawów schyłkowości w społeczeństwie amerykańskim, ponieważ przeważa w nim człowiek gospodarczy /homo oeconomicus/. Pogląd ten starał się osłabić ówczesny prezydent Stanów Zjedn., Teodor Roosevelt, i miał o tyle rację, że w każdym społeczeństwie zdrowym w równej mierze potrzebne są obydwa typy i że każdy w swoim zakresie spełniać winien przypadające mu zadanie.

Państwo prusko-niemieckie rozrosło się z małych początków do rozmiaru Niemiec bismarckowskich, ponieważ z jednej strony Pielęgnowało tradycje wojskowe, z drugiej zaś strony od czasów hanzeatyckich aż do najnowszych

nigdy nie zaniedbywało rozwoju niemieckiej potęgi gospodarczej. Anglia nie zaniedbywała nigdy swojej marynarki, w której znajdował pole do pracy jej "homo imaginativus", czerpiąc z rezerwuaru, jaki posiada w strukturze duchowej potomków przedsiębiorczych Wikingów i bitnych Szkotów.

Wygranie dzisiejszej wojny światowej nie było by możliwe, gdyby za człowiekiem wyobraźni w wojsku i marynarce angielskiej nie stał "homo oeconomicus" jako organizator, który w krótkim czasie rozwinął w mistrzowski sposób produkcję wszystkich niezbędnych do zwycięstwa maszyn i narzędzi wojennych.

Zupełnie fałszywy jest nierządki, ale zarazem nieprzemysłowy i wiele prymitywny pogląd, że W. Brytania jest dla tego potężna i zamożna, "ponieważ na nią pracuje pół świata." Rzeczywistość bowiem wygląda tak, że Anglik, organizując nie tylko własną, ale i światową gospodarkę, doprowadził do tego, że poziom życia n.p. w Australii jest wyższy jeszcze niż w samej Anglii, a w Kanadzie, Południowej Afryce, Nowej Zelandii nie ustępuje angielskiemu.

Indie nie mają jeszcze statutu dominium, ale dzięki angielskiemu wysiłkowi organizacyjnemu rozwijają się szybko, a śmiertelność niegdyś tak wielka w tym kraju spadła choćby w ostatnim dziesięcioleciu o jedną trzecią. Wszak podziwiając zamożność Bombaju, korespondent "Polski Walczącej" miał smutne refleksje na temat naszego własnego ubóstwa. Na skutek wychowania bodźcem w wy-

siłku angielskim nie jest jedynie korzyść własna, ale raczej zamikowanie do dobrze wykonywanej pracy. W tej pracy człowiek może wyładować swoją energię, ale także uczy się wychodzić z siebie i przywiązuje się do swojego dzieła jako do swojego duchowego dziecka.

Wychowanie o wielkiej tradycji, kładące nacisk na charakter, a nie tylko na wiedzę, zbudziło w Anglii zdolność do inicjatywy i do samodzielnej pracy konstruktywnej, dbającej także o cudze dobro. Praktyczny, osobisty wysiłek życiowy, który w Anglii zawsze był szanowany, a nie lekceważony jak ongiś w Polsce, rozwinął w Anglosasie talenty organizacyjne, którymi wyprzedza inne narody. Skutkiem tego imperium angielskie przechodzi już drugi raz zwycięsko próbę wojny światowej. Wszakże dominia angielskie mogłyby, gdyby chciały, pójść własnymi drogami, jak to zrobiła Irlandia. Nie czynią tego jednak, ponieważ daleko patrzący obywatel dominion rozumie, iż znaczenie solidarności jest daleko większe i ważniejsze od innych względów: od wymaganych chwilowo ofiar i od interesów partykularnych.

Mimo olbrzymich odległości dzielących je od W. Brytanii, dominia jej nie potrzebują dopiero takich straszliwych i krwawych lekcji, jakie odbierają od wieków narody środkowej i południowo-wschodniej Europy, aby zrozumieć potrzebę współpracy w imię "commonwealth'u" brytyjskiego. Wszystkie sztuki propagandy niemieckiej w przeszłości, jak i obecne sztuki polityki hitlerowskiej

i propagandy goebbelsowskiej rozbiły się całkowicie o daleko patrzący rozum, który Anglia zaszczerpiła także w swoich dominionach.

Jeszcze przed poprzednią wojną Francuz Edmund Demolins napisał rozchwytywaną wówczas i dziś także ciekawą pracę p.t. "Na czym polega wyższość Anglosasów?" Stwierdza on zgodnie z tym, co sami widzimy, że W. Brytania, jej dominiami i Stanami Zjednoczonymi nie kieruje ani biurokracja, ani marynarka, ani wojsko, lecz przede wszystkim wolny obywatel, ceniący wysoko niezależność życiową, opartą na wychowaniu i organizacji — obywatel, stawiający na mocy swoich doświadczeń praktycznego życia charakter ponad wiedzę, a ponad inteligencję zdrowy rozsądek. Sumiennosc, akuratnosc, wytrwalosc, przemysłowy podział pracy oraz oszczednosc spowodowały, że Anglik zrobił najwięcej, choć niektórym się wydaje, że pracuje najmniej. Anglik nie kieruje się w przedsięwzięciach i postanowieniach swoich wrażeniem, ale zawsze stara się czerpać nauki z przeszłości i przewidywać przyszłość. Opanowuje pobudliwość i wzruszeniowosc, ponieważ wie z doświadczenia, jak dalece w błąd wprowadzają człowieka, pozwalając chwili zagorować nad rozumem i obliczeniami, przewidującymi rozwój wydarzeń w przyszłości.

Na pytania krytyczne, które nasuwają się nam tutaj w Anglii przy porównywaniu naszych i brytyjskich stosunków, trafnie odpowiada Stanisław Szczepanowski, który w ubiegłym stuleciu badał sto-

unki angielskie. Poszukując wówczas przyczyn "nędzy Galicji" wykazuje Szczepanowski, jak wskutek braku organizacji, zafanfania gospodarczego i nietroszczenia się o przeobrażenia zagranicą, wydajność pracy wynosiła u nas około jednej czwartej tego, co w krajach zachodnich mimo, że robotnik polski jest zagranicą ceniony dla swej pracowitości; jak szlachta polska, w poczuciu własnej niemocy, poszła po linii najmniejszego oporu, czyli wręcz przeciwnie, jak ta sama warstwa w Anglii i weszła na "drogę oparcia się o najpotężniejszy, najlepiej zorganizowany żywioł w kraju — o biurokrację..."; jak to było "zasadą austriacką utrzymywanie wielkiej liczby lichy płatnych urzędników, zamiast mniejszej liczby dobrze płatnych," przy systemie wykluczającym osobistą odpowiedzialność; jak z natury rzeczy "ludzie żyjący ze stałych pensji nie odczuwają w ten sposób sytuacji ekonomicznej, jak ją odczuwają klasy produktywne, klasy zarobkujące"; jak biurokraci "spodziewają się ratunku od zewnętrznej zmiany ustroju społecznego... a nie od przetworzonego serca i sumienia ludzkiego"; jak w Galicji powinniśmy byli mieć "rząd rządzący krajem, zamiast urzędników załatwiających kawałki" i t.d., i t.d.

Można pozostawić czytelnikowi stwierdzenie na mocy własnych doświadczeń, co z tych wszystkich i innych głęboko zakorzenionych niedomagań przyjęło się w Polsce odbudowanej i jak się to na niej, na jej polityce wewnętrznej i zewnętrznej odbił ów światopogląd emerytalny, przeważający wśród niestety urzędniczej głównie inteligencji polskiej.

Należy się nam przeto wzorować na W. Brytanii i pilnować w państwie wypróbowanego rozgraniczenia zadań między poszczególnymi czynnikami państwowymi. W szczególności biurokracja, której odpowiedzialność należało by zwiększyć, winna spełniać sumienie swoje zadania administracyjne, a politykę wewnętrzną i zewnętrzną winno się pozostawić narodowi i powołanym przezeń legalnym przedstawicielom. Wspólnymi siłami winniśmy wyrównywać braki, aby naród nie tylko w dziedzinie bojowego wysiłku i ofiarnego cierpienia, ale także w dziedzinie twórczego gospodarczego i politycznego wysiłku stanął na wysokości wielkich swoich zadań, w których go zresztą nikt ani zastąpić, ani wyręczyć nie może pod groźbą katastrofy.

Powinniśmy zwłaszcza planowo starać się wytworzyć w Polsce warstwę inteligencji niezależnej, nie urzędniczej, o cnotach, jakie w W. Brytanii uważa się za podstawowe dla rozwoju życia gospodarczego narodu. Tylko z takiej warstwy wyjść może w Polsce potrzebna ilość ludzi przewidujących, na mocy praktycznego doświadczenia życiowego. Zamiast przeceniać znaczenie przygodnych kursów czy przyspieszonych matur, pchajmy młodzież polską do biur i warsztatów angielskich, by się w nich nauczyła konstruktywnej pracy i organizowania warsztatów twórczych, samowystarczalnych na skutek racjonalnej gospodarki.

Tylko na tej drodze zdolamy u sunąć u nas pewne zgubne elementy słabości.

MICHAŁ KWIATKOWSKI

OTTO MACIĄG: Szkockie wybrzeże



UDERZENIE NA WŁOCHY

Dnia 6-ego września rano komunikaty sojusznicze co do działań w Kalabrii były nadal powściągliwe. Nie wiemy, jakich postępów dokonano poza zajęciem miast takich, jak Reggio i San Giovanni. Z raportów sprawozdawców prasowych można by się domyśleć, że poza ruchami wszzerz i parciem ku Tarentowi czy Bari, drugi ruch idzie w głąb lądu. Oddziały brytyjskie posuwają się również szlakami pobraża od Reggio. Opór, na jaki natrafiono na brzegu kalabryjskim był podobno bardzo słaby. W kilku punktach nieprzyjacieli wycofał się, nie próbując nawet walki.

Sprawozdawcy podkreślają, że nie natrafiono dotychczas na główny ośrodek sił i że nieprzyjacieli stosuje bodaj taktykę powolnego cofania się. Czy chce on wydać walkę gdzieś dalej na północy, czy też usiłuje wciągnąć siły alianckie, ażeby uderzyć na nie potem — nie wiemy.

Pewne koła twierdzą, że uderzy ona koło Neapolu, a nawet wyżej, koło Rzymu, gdyby okazało się, że wojska niemieckie, posilkowane przez pułki włoskie, usiłują uderzyć na wojska brytyjskie na południu.

Zarys wojskowy przedstawia się na razie dosyć mgliście. Nie wiemy, jak się rozwiną działania, nie wiemy, czy uderzenie na Reggio było atakiem głównym, czy też raczej manewrem mylącym. Nie wiemy również, czy sojusznicy mają plan wypierania wroga przez całą długość „buta” włoskiej czy też raczej opanowania południa Włoch celem skoku dalej, na wschód ku Bałkanom. Te wszystkie możliwości nie występują dzisiaj jasno.

Jeszcze mniej jasno zarysowuje się polityczna strona wojny z Włochami. Rozgłoszona rzymska dała do zrozumienia, że Włochy gotowe są przyjąć „wszelkie rozsądne warunki”, ale hasło „bezwzględne poddania” nie jest rozsądne. Równocześnie pogłoski powiadają, że wysłannicy włoscy rozjeżdżają po świecie.

W każdym razie stwierdzić należy, że w kampanii politycznej przeciwko Włochom zaszyły ważne zmiany:

strona sojusznicza zaprzestała atakowania rządu Badoglio. W ostatnich czasach odzwyczajają się na łamach pism brytyjskich „Observer” z dnia 5.IX, głosy, dla tego rządu raczej przychylnie, wskazujące, że dokonał on „demokratycznych” zmian, że wciągnął do współpracy

sojalistów, a nawet komunistów /przedstawiciel bezrolnych chłopów włoskich/, że opanował sytuację, albowiem robotnicy nie strajkują. *nie powtarza się już pod adresem Rzymu hasła „bezwzględne poddania”*

rozumie się lepiej obrzymie trudności Włoch znajdujących się w pozycji niebezpiecznej.

Sojusznicy musieli wkroczyć na ląd włoski, albowiem okazało się, że samym bombardowaniem nie zdamie się Włochów i że to nie wpłynie na usunięcie się armii niemieckiej.

Wydaje się, że kampania włoska będzie grana na dwóch szachowniach — militarnej i politycznej. Ta druga może okazać się ważniejsza.

OCZEKIWANIE W WASHINGTONIE

Roosevelt i Churchill czekają w Waszyngtonie. Na co? Czy na doniesienia z pola walk w Włoszech, czy na wysłannika Rzymu, czy też na jakieś słowo Moskwy? Nie wiemy. Faktem jest, że ma się odbyć narada ministrów spraw zagranicznych Rosji, Anglii i U.S. Wspomina się o Londynie, jako o miejscu spotkania.

Nie jest rzeczą wykluczoną, że istotnie Waszyngton chce uzyskać obecnie wyjaśnienie sytuacji ze strony Moskwy i że nawet w spra-

wach włoskich chce uzyskać pewnego rodzaju „placet” Rosji. Przepuszczając wolno, że obaj zachodni alianci chcą za wszelką cenę uniknąć pogłębiania się różnic z Wschodem. Wszystkie posunięcia sojuszników zachodnich świadczą o ich najdalej idącej dobrej woli. Nikt bezstronny nie wątpi chyba w istnienie tej dobrej woli.

Mowa Churchilla była wyrazem tej gotowości podjęcia każdej dyskusji, ale równocześnie zakreśliła granice. Churchill powiedział, że udzieli wszelkiej pomocy, ale że o kierunku uderzenia decydować muszą alianci, znający swoje możliwości. *Front we Włoszech opinia brytyjska uważa za pewny drugi front.*

Mowa Churchilla była wzorem jasności, ścisłego określenia obowiązków, przypomnienia na czasie faktów, których pewien odłam opinii brytyjskiej nie pamięta, czy nie chce pamiętać. *Oświadczenie z cytadel w Quebecu b. bardzo wskazane i bardzo na czasie.*

NA FRONCIE WSCHODNIM

Cofanie się armii niemieckiej na Wschodzie trwa. Wprawdzie Wehrmacht unika wyraźnie „zwarcia”, jeżeli można zastosować do tych walk wyrażenia z ringu bokserskiego, ale nie mniej nie może uniknąć utraty terenu. Odrywa się on stale od wroga, unika osaczenia, nie zostawia garnizonów na zagładę. Oddaje stanowiska po stanowiskach, niszcząc wszystko wokół z istic niemiecką dokładnością. Jest to odwrót na razie jeszcze planowy i celowy, odwrót w ory-dynku i ładzie.

Szkic sytuacyjny

Straty w terenie, jakie Wehrmacht ponosi są poważne. Straty w ludziach i sprzęcie muszą być również znaczne. *Przewaga lotnicza wydaje się być na pewnych odcinkach po stronie sowieckiej.* Tym ciężiej cofać się armii niemieckiej, która nie rozporządza już przewagą powietrzną.

Warunki cofania pogorszą się w jesieni, a w zimie mogą stać się tragiczne. Nic nie wskazuje na to, ażeby Rzesza mogła sobie pozwolić niedługo na zryw ofensywny, ażeby zdołała odwrócić prawo strategii i atakować w zimie. Zima ta może stać się dla armii niemieckiej tym, co przetrzała jej stos pacierzowy.

BERLIN POD BOMBAMI

Naloty na Berlin wydają się atakami planowymi. Uderzenia w to wielkie centrum przybierają na sile. Możliwości ataku stają się coraz większe, ze względu na dłuższą noc. Z drugiej jednak strony bombowce brytyjskie napotykały na tak silny opór myśliwców nocnych wroga, że muszą ataki swoje redukować w czasie. Ostatni trwał tylko 20 minut.

Okazało się, że Niemcy rozporządzają dzisiaj wielkimi chmarami pościgowców nocnych i że wobec tego nie można zbyt długo popasać nad celem. Pewne doniesienia mówią o setkach niemieckich myśliwców nocnych. Inne nawet o tysiącach.

Pozostaje faktem, że atak musi być tak szybki, ażeby strona przeciwna nie zdołała skrzyknąć nadmiernie wielkiej ilości „night fighterów.” Okazały się one najgorszym wrogiem ataku. Dlatego na tej właśnie obro-

nie Rzesza dzisiaj głównie polega. Po drodze do dalszych celów RAFu walczą dalej ziemia niemiecka artyleria przeciwlotnicza, jakkolwiek wydaje się, że istnieją już strefy, w których pościgowce stawiają opór raz z razem, ażeby przetrzeć szyki ataku, spędzić z tropu bombowce sojusznicze i skłonić je do rozproszenia.

Przewaga lotnicza, jaką posiada dzisiaj atak, nie jest zjawiskiem stałym. Każda przewaga jest rzeczą względną. Jeżeli Rzesza potrafi stworzyć zapory obronne z „night fighterów”, skuteczność ataku naszego zesłabnie. Dlatego to atak brytyjski śpieszy się, albowiem trzeba wykorzystać przewagę, jaką dała nam chwila.

ZMIANY W RZESZY

Nastroje, jakie panują w Rzeszy napewno nie polepszają się. *Nominacja Himmlera na ministra spraw wewn. dowodzi, że Rzesza „zapina się na ostatni guzik.”* Himmler jest tym właśnie ostatnim guzikiem. Po nim już nie ma niczego.

Oczywiście, kierownictwo Rzeszy przekonało się, że nie można pozwolić na takie rozluźnienie, jakie nastąpiło we Włoszech i że najwyższy czas przykreć śrubę. Himmler był zawsze i stale uważany za tego człowieka, który wskoczy w chwili, gdy Rzesza będzie „w ziej skórze.” Ma on nie tylko rękę brutalną, ale także i środki do uprawiania terroru. Jego zespół „uzbrojonych S.S.” jest potężną armią. Armia ta rozwijała się w czasach ostatnich i dzisiaj może wystąpić na wypadek ruchawek.

O ile na froncie działa Wehrmacht i w Führerem natchnienia partii z Fuehrerem włącznie, wydają się tam już prawie nieistniejące, to front wewnętrzny trzyma jeszcze dalej partia. Taki podział ról został ustalony. Nie wiemy oczywiście jak długo partia podoła swojemu zadaniu. Zawisłe jest ono bowiem całkowicie od wypadków na froncie, jak i od siły bombardowania Rzeszy.

Bombardowanie, jakkolwiek niszczy ono potężnie przemysł i zmusza do ewakuacji i przemieszania /podobno Wiedeń ma być ewakuowany/, to jednak — staje się to jasne — nie zdecyduje jeszcze o wyniku kampanii przeciwko „fortecy europejskiej.” Dlatego postępy lądowe sojuszników na kontynencie Europy będą miały jednak znaczenie rozstrzygające.

Nie wiemy, jakie siły alianckie dowództwo w tym jeszcze roku rzuci do boju. Nie wiemy, jakie akcje planuje na rok przyszły. Ale trzeba przyjąć raczej, że sojusznicy będą uderzali tam, gdzie mają szanse uzyskania sukcesu, będą uderzali rozsądnie, celowo.

Londyn, dnia 6-ego września 1943.

ZBIGNIEW GRĄBOWSKI

Z tygodnia na tydzień

30 sierpnia: Wojska niemieckie ewakuowały Taganrog.

31 sierpnia: Oglaszono, że wojska sowieckie zdobyły Jelnie, na wschód od Smoleńska oraz Ryłsk i Gluców na południe od Brińska.

1 września: 30/31 polskie samoloty bombowe brały udział w nalocie na München-Gladbach.

O.R.P. „Piorun” wraz z innymi kontrtorpedowcami brytyjskimi ostatni pancerniki „Nelson” i „Rodney”, które w niezwykłe śmiały sposób ostrzeliwały baterie nadbrzeżne na północ od Reggio.

1 września: Rocznicą nadjazdu niemieckiego na Polskę. W związku z nią z Kraju nadeszła depecha, w której czytamy:

„Zapewniamy Prezydenta Rzeczypospolitej, Rząd Polski oraz naszych sojuszników, Anglię i Stany Zjednoczone, że nawet tak ciężkie ofiary, jak te, które Polska dzisiaj ponosi, nie powstrzymają narodu w walce,

która przywróci do życia niepodległą i nicyzm niepomniejszoną, demokratyczną Rzeczpospolitą.”

W nocy z 31 sierpnia na 1 września lotnictwo brytyjskie bombardowało Berlin. 47 bombowców brytyjskich nie powróciło z tej wyprawy.

3 września: Wojska brytyjskie i kanadyjskie lądowały przez Cieśninę Messyńską w południowych Włoszech.

Polskie samoloty bombowe w nocy z 2/3 przeprowadziły specjalne bombardowanie. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

Polskie dywizyjny myśliwskie wykonały loty patrolowe oraz trzykrotnie ostatnią wyprawę bombową. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

Polski dywizyjny myśliwski wykonał lot patrolowy i ostatnią wyprawę bombową. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

4 września: W nocy z 3/4 lotnictwo brytyjskie bombardowało Berlin. Był to najbardziej skoncentrowany nalot z przeprowadzonych dotąd na Niemcy. W ciągu 20 minut zrzucono 1000 ton bomb.

Naczelnik Wódz gen. Sosnkowski dokonał inspekcji oddziałów spadochronowych. Naczelnik Wódz udekorował 52 spadochroniarzy Krzyżami Zasługi z mieczami.

Polskie dywizyjny myśliwskie ostatnią ośmiokrotnie wyprawy bombowe.

W czasie przeprowadzanych zadań zniszczono trzy Focke Wulfy 190 napewno i jeden prawdopodobnie.

Ponadto polskie samoloty myśliwskie wykonały patrolowe loty ofensywne. Wszyscy piloci polscy powrócili z tych zadań.

5 września: W nocy z 4/5 polskie samoloty bombowe wykonały szereg operacji bombowych. Wszystkie załogi polskie powróciły.

Nowości lotnicze

Przechodzimy teraz do omówienia spraw lotniczych polskiego frontu wewnętrznego.

Minęła rocznica wejścia Polski do wojny. W dniu 1 września napadło Polskę 3500 samolotów niemieckich, niszcząc miasta, miasteczka, wsie, zabijając spokojną cywilną ludność, paląc zbory. Dziś Niemcy widzą w nalotach lotnictw alianckich próby terroru. Czymże innym, jak nie terrorem były owe działania przeciw ludności? Zły czyn jak bumerang wraca do sprawcy.

Lotnictwo polskie, którego gotowość bojową pewne czynniki zapowiadały dopiero na rok 1944 /! / weszło w akcję nieliczne i nieuzbrojone. Przeciw nawale nieprzyjaciela wleciało w powietrze 426 samolotów. Lecząc z tego n.p. dwaście plutonów łącznikowych w ogóle nie miało uzbrojenia. Wiele dywizjonów myśliwskich uzupełniono w ostatniej chwili maszynami ze szkół, o zmeczonych motorach. Całe lotnictwo myśliwskie to było razem — 161 maszyn. Całe bombowe — maszyn 86.

W ciągu przebiegu kampanii straty wyniosły 333 samoloty a więc 83% stanu z dnia 31 sierpnia. Wszystkie uzupełnienia dywizjonów lotniczych w sprzęt wyniosły w czasie przebiegu kampanii: 25 maszyn. Dwa dziesiąta pięć! Nie było rezerw, owych nieodzownych 300%, które decydują o wartości bojowej jednostek...

A jednak sam Goering przyznał się do strat przeszło 1000 osób z załóg, a najbardziej pesymistyczne obliczenia wykazują, że zestrzelono ok. 400 maszyn niemieckich. W logicznej konsekwencji musiło ich być przynajmniej jeszcze dwa razy tyle. To było też przyczyną, że Niemcy przed dalszą kampanią przeciw Sprzymierzonym byli zmuszeni całkowicie zreorganizować swe lotnictwo. Potrzebowali na to aż dwu miesięcy czasu.

Lotnictwo Polskie w świetle tych faktów dobrze wypełniło swe zadanie.

Co było przyczyną tak fatalnego stanu rzeczy przed 1939 rokiem? Przede wszystkim podział spraw lotniczych i decyzji w sprawach polityki lotniczej aż między cztery resorty ministerialne, przy zgrupowaniu najważniejszych spraw w dwóch:

Ministerstwie Spraw Wojskowych i Ministerstwie Komunikacji. W wyniku tego — Polska nie miała w ogóle polityki lotniczej. Nikt nie mógł określić, co należy robić, by być silnym i przygotowanym.

Tak n.p. w pewnym momencie Ministerstwo Komunikacji zakupiło dla naszych linii komunikacyjnych sprzęt, który w ogóle nie mógł być uzbrojony. A jednak ten sprzęt z natury rzeczy miał grać poważną rolę w naszej gotowości bojowej. Podobnie rzecz się miała z przygotowaniem naszych pilotów, podobnie z lotnikami, podobnie z pracami wewnątrz fabryk, podobnie z zakupami. Wiadomo: gdzie kucharyk zesz — tam nie ma co jeść.

Jakże na tle historii wygląda sprawa nowego podziału lotnictwa polskiego, dokonana niedawno?

Doszedł świeżo do naszych rąk egzemplarz krajowego czasopisma podziemnego „Wzlot.” Jest to pismo młodzieży lotniczej. Ze wzruszeniem patrzyliśmy na szpalty tego periodyku. Jest świetnie redagowany, poziom jego jest nawet na czas normalne wysoki, zarówno pod względem treści technicznej jak i polityczno-lotniczej. Artykuł „Polacy są narodem lotniczym” jest pisany z tak szerokim oddechem politycznym, że mogłoby go pozazdrościć jeden z polskich Londyńczyków, rozszczępających sobie pretensje do miana polityka.

Oddychamy z ulgą: a więc jednak tam w Kraju nie napotkamy absolutnej pustki. W kraju jest młodzież lotnicza, która pisze, uczy się, a przede wszystkim myśli wysokimi kategoriami przyszłości, o które na tu-tejszym rynku bardzo trudno. Czasem wydaje się, że czad wieku dziełnastego tak zdusił mózgi, że nie umieją już kalkulować samodzielnie, tylko jak nakreślona katarynka grają jedne i te same melodie z czasu, kiedy Marx pisał swój „Kapitał”, a inż. Adler budował swego parowoju „Nietopera.” Tylko że w owym pamiętnym roku 1873-cim jego pierwszego, stumetrowego skoku, mierzono na piasku metrem, francuskie koła militarne i polityczne zareagowały utworzeniem towarzystwa aeronautycznego, a *Ministère de la Guerre* przystąpiło do opracowywania i opracowało pier-

wsze regulaminy lotnictwa, które w treści i ujęciu nie ustępowały w niczym regulaminom z 1918 roku...

Niestety myśl lotnicza przyszłości, niema wielu zwolenników w naszej emigracji. Jesteśmy jednak głęboko przekonani, na podstawie żywego dowodu „Wzlotu”, że inaczej jest w społeczeństwie w kraju. Tam napewno nikt z tej młodzieży, która pilnie uczy się nawigacji i studiuje problemy nowego porządku świata, koniecznego wobec rewolucji komunikacyjnej 1939 — nie wpadnie na pomysł podziału lotnictwa na cywilne i wojenne. Bowiem doskonale wie, że ten podział był jedną z przyczyn kapitałnych naszej klęski wrześniowej. Nie wpadnie im też do głowy absolutne dzielenie ludzi w lotnictwie na leńszych dziadków i piomienią młodzieży. Piszą bowiem: „chcemy by nas zrozumiiano i chcemy zrozumieć starszych. A jeśli polączy nas jedność myśli — napewno wspólnym wysiłkiem wybudujemy polskie lotnictwo.”

Od roku 1922 lotnictwo polskie i ludzie politycznie światli walczyli o uznanie ważności zagadnień lotniczych przez wszystkie sfery społeczeństwa polskiego, o uznanie ważności tej idei, o której znowu w artykule programowym pisze „Wzlot”: „nie ustępuje w niczym żadnym ideom politycznym czy społecznym, bo skupia i łączy ludzi.” Walka ta miała swój ostateczny wyraz w dążności do skupuienia całego lotnictwa w ministerstwie względnie podsekretariacie stanu lotnictwa.

Jakżeż więc zrozumieć dziś owe dążności drażące w pewnych sferach politycznych do podziału lotnictwa? Czy mamy to rozumieć jako walkę nie na czasie o władzę, jako smętne partyjne rozgrywki, czy jako nieporozumienie na skalę grzechu przeciw państwu? Każdy początkujący uczeń szkoły lotniczej wie przecież, że podział na lotnictwo „cywilne” i „wojskowe” nie istnieje i istnieć nie może. Sprawy lotnicze są sprawami lotniczymi i są tak splątane ze sobą, że i święty ich nie podzieli.

Czyż mamy wrócić do czasów, kiedy to lotnictwo komunikacyjne mieściło się w Ministerstwie Komunikacji w jednym wydziale z kolejkami dojazdowymi? Do tych czasów, gdy jednym tchem wymawiano rozkład jazdy na wąskotorówce Lyntupy-Miadzioł i linii lotniczej Paryż — Warszawa — Bukareszt?

M. J. GORDON

O tej godzinie w Polsce

Ludzie z innego świata pojęć

B.D.I.C

Wojna obecna pociągnęła za sobą jeszcze jeden skutek, o którym się nie pamięta: oddaliła świat cywilizowany od Niemiec. Zmniejszała do minimum, do nielicznych jednostek liczbę ludzi, którzy mogą bezpośrednio śledzić życie niemieckie.

Z tym przyglądaniem się życiu niemieckiemu było źle na ogół od dość dawna, było źle zwłaszcza przed wybuchem obecnej wojny, chociaż wtedy jeszcze setki osób spośród cudzoziemców mieszkających w Berlinie i mogły się przypatrywać Niemcom hitlerowskim. Ale w samej metodzie oglądania życia niemieckiego tkwił zasadniczy błąd. Największą przeszkodą w zrozumieniu przez obcych niemieckiego życia nie było ani to, że oglądający byli cudzoziemcami, ani to, że w rzeczywistości przed nimi tajono lub nawet maskowano w niewinne pozory. W okresie przedwojennym największą przeszkodą we właściwym zrozumieniu niemieckiego życia był fakt, że to spotykały się dwa już zupełnie różne światy.

Im dalej od roku 1919, tym bardziej stawały się Niemcy światem samym dla siebie, światem "z innej planety." A ludzie przyjeżdżający do Niemiec pozostawali ciągle sobą. Co więcej, nie chcieli ani rusz dostrzec, że przyglądają się widowisku, które wyszło z normalnego wymiaru i poszukiwało sobie wymiaru innego. Sądziли uparcie, że to, na co patrzają, ciągle odbywa się w świecie pojęć dotychczasowych.

Oczywiście, przy uporezywym trzymaniu się takiego punktu widzenia cały hitlerizm nabierał cech doskonałej operetki, na którą jest zabawnie popatrzyć. Śmieszna figurka z wąsikami, miotająca się po trybunach i wrzeszcząca na olbrzymich stadionach, uchodziła za postać błazeńską, którą — gdy się jej będzie miało dość — każdej chwili można będzie wyrzucić ze sceny.

Mało ludzi wglębiało się w istotną treść życia niemieckiego i chciałoby zrozumieć jego "odmienność" nie po raz pierwszy zresztą w historii. Ale i ci nawet nieliczni, wszystkie niemieckie niespodzianki skłonni byli rozpatrywać jako *curiosa* rzeczy i przypadkowości, niż jako powstanie nowego zupełnie świata, konsekwentnego i planowego. Po powrocie do swoich krajów najprzenikliwsi nawet cudzoziemcy popełniali najtragiczniejszy błąd, który dotąd nie ustąpił: opisywali życie niemieckie pojęciami, wykształconymi w obrębie cywilizacji zachodniej.

Tymczasem tam działo się już zupełnie co innego. Hitlerizm zebrał wątki przewodnie całej historii niemieckiej, związał je w jeden węzeł i uczynił z tych wątków — religię. To, co Niemcy dotychczas aplikowali światu w rozcięczeniu i od czego truli się na powoli, ale nie umierał, to teraz podano w skoncentrowanym ekstrakcie, od którego miała nastąpić śmierć natychmiastowa.

To co nazywam "innym światem pojęć," "nową cywilizacją," a co doszło do pełnej dojrzałości i spełnienia w erze hitlerowskiej, nie jest pomysłem hitleryzmu, nie powstało nagle i od razu. Dojrzało powoli i konsekwentnie przez całą historię niemiecką, formowało się na kartach wielu pokoleń niemieckich pisarzy politycznych. Narodowy socjalizm ma tylko trzy "zasługi" w tym zakresie: ostateczne sformułowanie tych programowych niemieckich wątków historyzoficznych, zdecydowanie się na ogłoszenie ich otwarcie i wprowadzenia w życie w tak dynamicznym ekstrakcie, w jakim nie potrafili tego zrobić ani Fryderyk II, ani Bismarck, ani Wilhelm II, ani Treviranus.

Gdyby nie było takiej właśnie historii niemieckiej, jaka była, nie było by hitleryzmu. Gdyby w roku 1916 feldwebel Adolf Hitler był poległ w okopach wojny światowej, mielibyśmy dzisiaj w Niemczech również obłąd nienawiści, a na świecie wojnę. Bowiemy narodowy socjalizm nie jest zjawiskiem przypadkowym, dopustem, ale jest końcowym etapem pewnego procesu historycznego.

Gdy Anglik skłamię lub złamię

umowę, to jakkolwiek to przedstawi i usprawiedliwi względami na spoiwość Imperium, w głębi duszy nigdy nie przestanie wiedzieć, że skłamał i zламаł umowę, bo Biblii nie można podrabiać. Gdy Polak ukradnie dla najwznośszego celu, to chociaż wyszuka zapewne dla swego czynu wiele okoliczności łagodzących, do końca życia będzie wiedział, że popełnił czyn karygodny, bo Dekalogu nie da się zmienić nawet dla polskich celów patriotycznych. Gdy Niemiec skłamię, ukradnie lub zabije, nie będzie nawet szukał okoliczności łagodzących, uśmiechnie się tylko promiennie swym nordyckim obliczmem i będzie czuł radość z moralnie dobrego czynu.

Na tym bowiem polega cała rzecz, że w Niemczech zmieniono — teraz otwarcie /jak poprzednio czyniono to tam skrycie i podstępnie/ dotychczasowy Dekalog na Dekalog inny: właśnie "zabijaj," właśnie "kradnij!," właśnie "mów fałszywe świadectwo!" — jeśli każe ci tak interes twojego kraju — ustami nowych proroków. I właśnie tej "drobnej" różnicy nie dostrzegli cudzoziemcy, wracając z Niemiec, choć opisywali malowniczo zjazdy norymberskie i nowe metody stosowane w niemieckich szkołach.

Tak było w okresie przedwojennym. Rezultat badań — żaden, chociaż praktycznie okazje do nich istniały. Lecz od czasu wojny rezultat jeszcze mniejszy. Drzwi od niemieckiego życia zatrzęsły się szalenie. Zaczął się okres oglądania życia niemieckiego na odległość, poprzez wiadomości krajów neutralnych i przez czytanie niemieckich enuncjacji. I tu nastąpiło zjawisko zgoła osobliwe. Nie tylko przez trzy i pół roku wojny nie nauczono się o Niemcach niczego nowego, ale zapomniano jeszcze w dodatku okrucich wiedzy o "narodzie panów," jakie zapamiętane zostały z przedwojennego okresu. Wiadomości nadechodzące z Niemiec, a zwłaszcza krajów okupowanych zamyka się po tej stronie frontu w system pojęć człowieka cywilizowanego o wojnie, na podstawie wyobrażeń i doświadczeń zebranych z wojen dotychczasowych, co jest szczególnie groźne dlatego, że w czterech latach wojny Niemcy odeszły od cywilizacji zachodniej o wiele bardziej, niż w okresie od Bismarcka do Wilhelma i niż w siedmiu latach przed wojną obecną.

—W Polsce rozstrzelano stu zakładników! — donoszą komunikaty polskie.

—Tak, to bolesne — odpowiada opinia brytyjska — ale trzeba pamiętać, że we wszystkich wojnach rozstrzeliwano zakładników. A

zresztą — czego już nie ma w odpowiedniach angielskich — zapewne było tych zakładników nie stu, tylko pięć.

Komunikat polski donosi: —W Polsce jest już w tej chwili wielkich obozów koncentracyjnych 43 i kilkadziesiąt małych t.zw. "powiatowych."

—Tak, ale w czasie każdej wojny odosabnia się ludzi niepożądanych, mogących zakłócić porządek. —Niemcy wyglądają polską ludność. Wywożą z Polski niemal całą żywność.

Reakcja opinii zachodniej jest spokojnie konserwatywna:

—Tak, ale od dawna wiadomo, że wojna nie stanowi przyjemności. W czasie jej trwania jest zawsze trochę śladniej.

W pewnym więzieniu na terenie Polski, w miejscowości, której nazwę znam, dnia 6 maja 1942 roku dwóch młodych ludzi z S.S. zabiło z rewolwerów automatycznych 304 osoby. Dzieła tego dokonali w czasie niewiele przekraczającym dwie godziny. Na każdego z oprawców wypadło po 152 osoby. Zabijali nie z odległości, ale "indywidualnie," pojedynczo. Potworne jest to przestępstwo zbliżone do zabijających do zabijanych w takiej ilości. Wiadomość o tym podawaliśmy kilka razy. Nigdy dotąd nie została ona zamieszczona w angielskiej gazecie. Sądzę, że ci Anglicy, którzy się z nią zetknęli, uważali ją za zmyśloną. I w dodatku za zmyśloną niedołężnie, po prostaku.

Żadna inna wiadomość tego typu nie ukazała się w angielskim wydawnictwie. W Poznaniu w roku 1940 założyli Niemcy przy więzieniu dla Polaków szkołę "egzekucji i badania," w której w oparciu o studia fizjologii i układu nerwowego człowieka, wykładano "uczniom" od 18 do 25 lat sztukę powolnego mordowania ludzi i wydobycia z nich zeznań. W tej szkole wynaleziono, oprócz słynnego "polowania ku czci Führera," dwa nowe rodzaje tortur, których nie znała dotąd kryminalistyka. Wiadomość o tym nie pojawiła się nigdzie, choć była podawana.

Nie wydrukowano również nigdzie wiadomości o owym rozporządzeniu z obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, które nakazuje uśmiercać w zainstalowanych na terenie obozu komorach z gazem trującym przysyłane dzieci poniżej lat 12 i niedołężnych starców. Nie przyjmowano również do pism socjalistycznych fotografii, przedstawiających okrucieństwa niemieckie, a zdejmowanych w Polsce z narażeniem życia właśnie po to, aby mogły być świadectwem prawdy.

Pewien redaktor powiedział nam wprost:

—Nasz czytelnik nie lubi tego typu wiadomości. Już od długiego czasu nie lubujemy się w okropnościach, nie ma dostatecznego powodu, abyśmy zaczęli to czynić obecnie. Mamy dokładną świadomość tego, że wojna jest okrutną rzeczą, ale wystarczy zupełnie, abyśmy o tym wiedzieli ogólnie.

Tak więc wiadomości przycho- dzące z Niemiec i kontynentu zamknięte są w wyobrażenia ogólne i stereotypowe, a obraz rzeczywistości Europy przedstawia się niemal tak, jak każdy obraz wojenny z przeszłości.

Tymczasem to, co się dzieje w Niemczech, jest procesem zupełnie odmiennym i odrębnym i co do jego charakteru nie powinno być żadnych wątpliwości. Czytanie koszmarnych wiadomości o terrorze niemieckim w krajach okupowanych i oglądanie przerażających zdjęć ofiar niemieckiego bestialstwa nie po to powinno być czynione, aby zaspakajać uczucia ciekawości, albo wywoływać litość dla Polaków, ale po to, aby się uczyć na czym polega różnica pomiędzy tą wojną a wojnami w przeszłości i na czym polega różnica pomiędzy idealami naszego świata, a idealami świata niemieckiego.

Nie dostrzegaliśmy tego, ale tak było: już w latach 1933 — 1939 Niemcy na dobre stworzyli świat absolutnie różny od naszego. A co dopiero mówić a latach 1939 — 1943, kiedy krwawa duszność wojny i pasmo wielkich zwycięstw ustokrotniło proces zmian w Niemczech. Tylko ten fakt, że możemy patrzeć na życie niemieckie jedynie z odległości i że wychytujemy z wiadomości przede wszystkim elementy wojenne sprawia, że przesłepiamy zjawisko najważniejsze: ugruntowanie się w Niemczech nowego świata pojęć.

Pewien stary Francuz, długoletni nauczyciel języka francuskiego w szkołach niemieckich, powiedział w r. 1937, gdy rozmawialiśmy o przyszłości Niemiec:

—Istota tego, co nazywamy hitleryzmem zawarta jest w zagadnieniu czasu. Jeżeli Hitlerowi uda się zostać przy władzy przez dziesięć lat, to znaczy do chwili kiedy dwunasto- i piętnasto-latką z r. 1933 dojdą do wieku lat 25, natenczas los Niemiec, jeśli nié los całego świata będzie przesadzony na całe pokolenia. Nawet gdyby później udało się Niemcy rozgromić, a Hitlera zabić, skutek tych dziesięciu lat będzie działał automatycznie w każdym następnym ustroju niemieckim. Hitler bowiem i jego ludzie za najważniejsze swoje od samego początku zadanie uważają rozluźnienie wszystkich więzadeł dotychczasowych w taki sposób, aby życia nie można było już przy-

wrócić do pierwotnego stanu, choćby przyszły rząd republikańskie albo wieloletnia angielska okupacja wojskowa.

Zagadnieniem najważniejszym współczesnych i przyszłych Niemiec jest zagadnienie młodzieży. Dr. Herman Rauschning w książce p.t. "Hitler mi mówił" notuje zarys planów Hitlera w stosunku do młodzieży niemieckiej:

— "Trzeba mi dziesięciu lat na samą tylko pracę wychowawczą." "Od młodzieży rozpocznę moje wielkie dzieło wychowawcze — mówił Hitler. — My starzy jesteśmy zużyli. Jesteśmy zepsuci do szpiku kości. Zatraciliśmy dra- pieżne instynkty. Lecz młodzież jest wspaniała! Z nią będę mógł zbudować nowy świat." "Wychowamy taką młodzież, przed którą zdradzą świat. Będzie to młodzież bezwzględna, wadczą, nieustraszoną, okrutną. Odbiorę jej wszelką słabość i tklliwość. Dam jej siłę i piękność młodych drapieżców. Nie chcę żadnego wykształcenia umysłowego."

Mówił to Hitler 10 lat temu. Od tego czasu słowa te nie zostały pustą zapowiedzią, ale zamieniły się w życie. Zdumiewali się ludzie, dlaczego lotnicy "Luftwaffe," chłopcy po 18, 20 lat kładli pokotem z karabinów maszynowych na polskich drogach w r. 1939 kobiety i dzieci. Zadawano sobie zdziwione pytania, jak mogli młodzi chłopcy z Gestapo zabijać niemowlęta polskie i żydowskie uderzeniem główek o bruk uliczny, albo jak może załoga Gestapowców złożona z 1.500 młodych Niemców w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu dzień w dzień przez całe lata trudnić się mordowaniem w komorach gazowych ludzi, którzy nie nie zawini- li.

Odpowiedź jest prosta: to już jest ta młodzież, którą w "Hitler- Jugend" i w "Ordensburgach" wychowano na "drapieżców." Ci chłopcy przynależą już do tego świata, który wyrósł przez dziesięć ostatnich lat w Niemczech i trwa tam we wszystkich ludzich, ujętych granicę wieku od lat 10 do 30. Dla nas jest to świat straszny, dla nich świat, który zawiera w sobie słodycz wzniesionego ideału i radość pełnego obowiązku.

Sądzę, że z niezwykłości swoich czynów w s z y s c y Niemcy zdają sobie dobrze sprawę. W Niemczech istniał głęboki i uporczywy kompleks niższości wobec Anglii. Każdy Niemiec ma wrażyony dystans respektu między Anglikiem a sobą, choć się do tego nie przyznaje. Planując zdobycie świata, powiedziano współczesnemu Niemcowi, że trzeba jednak zniszczyć Wielką Brytanię, a w pewnej chwili, już podczas wojny — w dodatku jeszcze i Stany Zjednoczone, które bardzo, choć na inny sposób, imponują Niemcom.

Postawione zadanie wydało się więc zasadniczo trudne, gigantyczne, mówiąc stylem niemieckim: kolosalne — właśnie przez istnienie w duszy niemieckiej tego kompleksu niższości. Z całą pewnością wielu Niemców, gdy po raz pierwszy zetknęli się z "kolosalnymi" planami nowej próby zniszczenia całego świata anglosaskiego dla uczynienia miejsca niemieckiemu porządkowi — obok dreszczu ochoty doznało również czegoś w rodzaju przerażenia.

Lecz ochota przeważyła przerażenie. Powstał olbrzymi spazm buty niemieckiej, która postanowiła ważyć się na wszystko. Istnienie w duszy niemieckiej owego kompleksu niższości wobec świata anglosaskiego, który to uraz kazał każdemu Niemcowi z osobna mieć chwilę oceniającego zastanowienia, spowodował to, że już zupełne porzucenie dotychczasowego świata było w Niemczech zjawiskiem świadomym, powszechnym i obciążającym wszystkich.

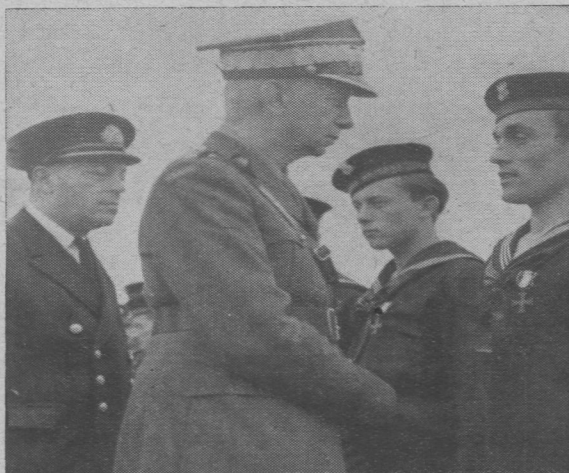
Im większe, im trudniejsze, im straszniejsze zadanie, tym drastyczniejsze środki muszą być zastosowane. To oczywiste. Tak powiedziano. I to każdy zrozumiał.

Niemiec zdecydował się te drastyczne środki wobec świata zastosować.

Ale w owej chwili uświadomił sobie w pełni, że wstępuje na drogę bez możliwości powrotu.

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Dwie wizyty



Dnia 29 sierpnia b.r. Naczelny Wódz, gen. Kazimierz Sosnkowski przeprowadził inspekcję kładownicą, świeżo objętej przez Polską Marynarkę Wojenną O.R.P. "Dragon." W czasie pobytu na okręcie Naczelny Wódz dokonał dekoracji kilkunastu marynarzy "Krzyżem Walecznych" za czyny bojowe w czasie akcji pod Diapie, w ostonie konwoju do Rosji oraz innych działaniach i wygłosił do załogi przemówienie, w którym m.in. powiedział:

"Chciałbym przypomnieć tę prostą prawdę, że stanowicie kadre, w której ramach nastąpi rozbudowa naszych sił morskich w niepodległej Polsce. Od wartości moralnej i przygotowania fachowego tej kadry w znacznej mierze zależeć będzie dalszy rozwój Polskiej Floty Wojennej."



Dnia 31 sierpnia b.r. Prezydent R.P. Władysław Raczkiewicz odwiedził 1. Dywizję Pancerną, był obecny na ćwiczeniach w terenie i pokazach wyszkoleniowych, przyglądał się pracy żołnierzy łączności, saperów, mechaników w warsztatach. W czasie żołnierskiego obiadu w jednym z oddziałów Pan Prezydent powiedział m.in.:

"Będzie Wam dane szczęście spełnienia obowiązku w walce. Byłbym rad, gdybyście wzięli udział w działaniach rozstrzygających. Jestem przekonany, że będzie nadal świadkiem stawy oręża polskiego. Dane Wam jest postugiewanie się najbardziej nowoczesną zbroją. Będziecie walczyli z nieprzyjacielem na równych prawach i równym orężem."

Ze Lwowa do Francji

II.*

KULE NAD SAMĄ GŁOWĄ

Jakże byliśmy szczęśliwi 13-go września, jeszcze nocą, o godz. 3 min. 20, opuszczając Lwów! Nie dlatego, że tam padają bomby, bo padają wszędzie. Ale dlatego, że zdaje nam się, iż rozwiął się koszmar wyjazdu za granicę. Wśród rozmaitych możliwości i ta była rozważana; istotnie, Generali bardzo by się teraz przydał Polsce we Francji i w Anglii, gdzie tak się z nim liczą. Ale aby działać skutecznie, musi mieć jakies pełnomocnictwa, a do tego rozmowa ze Śmigłym-Rydzem jest konieczna. Może też inaczej potocz się zdarzenia, i będzie mógł pożytecznie służyć ojczyźnie w kraju.

Dla Stefczyka i dla mnie, wyjazd — to ostateczność bardzo ciężka. Wszystkie nicy osobiste wiąże nas mocno z ziemią rodzinną. Paspportów nie mamy; mój roczny został w biurku w Warszawie — na cóż go miałem brać? Ubrań cywilnych też nie mamy. Generali mógł nam wyrobić paszporty we Lwowie i dostać dla nas wizę rumuńską, ale doprawdy nie umieliśmy się przewyciężyć i stanąć w ogonku przed konsulem, wśród zdecydowanych na wyjazd. Generali ma wprawdzie paszport, ale stary i przedawniony, z ostatniej zagranicznej podróży, bez przedłużenia i bez wiz. Odszykał dobry humor z chwilą, kiedy wykreślił w kierunku frontu, i ciągle marzy o przydziale bojowym.

Jeden Adam Kulakowski nie nie mówi i niezmordowanie prowadzi wóz. Ma niemałą robotę, bo jedziemy bez reflektorów, a na drodze ciągle zatory. To idzie wojsko w kierunku Lwowa, to wojsko, na które tak czeka sztab gen. Sosnkowskiego. Próbuje się zdać sobie sprawę z ilości i rozpoznać oddziały. Zadanie prawie niemożliwe, choć przystajemy ciągle, aby dać czas krótszym, z nas pójść naprzód i "odkorkować" drogę.

Wydobycie się wreszcie na wolniejszy szlak, gdyżśmy się oddalili od Lwowa. Jedziemy przez Zółkiew—Mosty Wielkie—Sokal. Generali wie od gen. Sosnkowskiego, że Kwatery Głównej trzeba będzie szukać gdzieś w rejonie Młynowa. W Krystynopolu i Sokalu próbujemy to sprawdzić u oficerów łączności; daremny trud, bo czy nie wiedzą, czy nie chcą mówić. Inaczej zupełnie wygląda ta oś Naczelnego Dowództwa, niż ta, o jakiej nas uczono i jaka była dawniej. Robi to jednak wrażenie beznadziejności przynębiającej.

Za Sokalem w Opulsku Generali zarządza postój. Wchodzimy do dworku, zajętego przez kadre oficerów artylerii z Pomorza, zdążającą na wschód za swoim pułkiem. Oficerowie znaknieli są nowin i po prostu rozkazów. Z wielką radością widzą Generala i wysłuchują krótkiego exposé o sytuacji. Za czym skwapliwie ustępują Generalowi dworek i odchodzą do pobliskiego lasu, ku radości gospodyni, która bała się bomb lotniczych z ich powodu.

O godz. 14 Generali każe mi wziąć samochód i zawieźć list do Hrubieszowa, gdzie ma być Szef Sztabu Głównego; jest to czwarta próba porozumienia się z marsz. Śmigłym-Rydzem. Jadę z Kula-kowskim. Po drodze kilkakrotnie przystajemy pod drzewami, bo dość gęsto latają samoloty. Niepokoi mnie odgłos dział z zachodu, wyraźnie coraz bliższy.

Jedziemy przez Uhrynów-Dołhobyczów, znaną mi okolicą. Po drodze przepytuję się o możliwość dojazdu tym gościńcem do Hrubieszowa. Zarówno znajomy ziemianin, do którego na chwilę wstępuję i przeczekuję krótki nalot, jak i policjant na motocyklu, jadący właśnie z Hrubieszowa, zapewniają, że droga wolna. Rano jakiś wielki sztab polski był w Hrubieszowie.

Wybieramy najprostszą drogę. Mijamy kolumnę taborów na samochodach. Na skrzyżowaniu naszej drogi z drogą z Mircza zatrzymują nas jakieś furmanki. Żołnierze, niektórzy bez kurtek, całkiem zdezorientowani. Co takiego? W południe jedli śniadanie w lasku, stąd o 5 klm na zachód; napadły ich czołgi niemieckie, i niektórym tylko udało się zbiec.

Dokąd mają dalej iść?

Wskazują im drogę ku Bugowi i postanawiam się spieszyć. Tymczasem nadciąga ów tabor samochodowy. Z mapą w rękę zaczynam objaśniać dowódcy, o czym się dowiedziałem, gdy wtem — czołgi niemieckie! O jakie 300 metrów wyłania się zza wzgórka wierzyczka i padają pierwsze kule z karabinu maszynowego.

Nie ma już co objaśniać. Wskazuję do wozu; Kulakowski błyskawicznie zwraca. Dostajemy dwie serie kul, ale przenoszą, a my już wśród chałup przed chwilą miniętej wioski. Pędzimy, ile sił w motorze — z powrotem. Po drodze zwracamy ciągnące tabor; przy jednym, większym zgrupowaniu zatrzymujemy się na mgnienie oka. O treści listu wiedziałem od Generala, wyjeżdżając: to rodzaj urgensu w sprawie, o której już trzykrotnie pisał. Nie jest więc koniecznością dostawianie się do Hrubieszowa inną drogą lub szukanie Sztabu Głównego za Bugiem; ważniejsze jest, aby Generali nie został bez srodka lokomocji.

Wpadamy do Opulsk w momencie, gdy Stefczyk troszczy się o jakąś możliwość wyjazdu, a Generali namawia kogoś, aby wsiadł do jego samochodu. Z zachodu coraz gęstszy ogień artyleryjski.

—No, już postawiłem na was krzyżyk — powiada Generali. — Już się więcej nie będziemy rozłączali. Ale jaki pan błady!

Nic dziwnego: unikałem niewoli. Zdaję sprawę z doskonałej postawy Adama Kulańskiego przy tym "bojowym chrzcie."

Jedziemy znów przez Sokal i przez most na Bugu. Generali dokonuje przeglądu oddziału, broniącego tej pozycji. Mosty na Bugu podobno już niektóre spalone; ten jest gotów do spalania. Generali rozmawia z dowodzącym porucznikiem.

—Więc pan generali na naszym czele? Boże, co za szczęście! — mówi mi potem ten oficer. Z przykrością wyprowadzam go z błędu. Przez Perespę i Stojanów docieramy do Radziechowa. W Stojanowie błogosławi nas staruszek-proboszcz, stojący z grupką parafian przed kościołem. I woła:

—Patrzcie, ludzie! Generali Sikorski z nami!

Nocujemy w Radziechowie, gdzie spotykamy sporo znajomych. Zaopatrujemy się w benzynę, kielbasę i chleb. Nazajutrz dalej, na bolesne poszukiwanie tego, który powinien być na czele, a od 5 września nawet dla generalów stał się nieuchwytny.

NA SZLAKU JAREMY

14-go września wyjeżdżamy więc o godz. 8 min. 45 i przez Stojanów-Horochów-Beresteczko docieramy do Dubna. Pod Dubnem na długą chwilę zatrzymują nas naloty. W samym mieście spotykamy gen. Litwinowicza, od którego spodziewamy się wreszcie źródłowej informacji. Ale czy nie wie, czy nie chce powiedzieć — doś, że uzyskujemy tylko ogólnikową wskazówkę, w myśl której jedziemy do Krzemieńca. W Dubnie też, pod drzewami na placu, spotykamy p. Korfantową z rodziną. Generali natychmiast pisze kilka słów na bilecie, aby zapewnić schronienie wdomku po zasłużonym działaczu śląskim.

Do Krzemieńca wjeżdżamy o godz. 17-ej. Poprzedniego dnia Krzemieniec ucierpiał od długotrwałego nalotu i wygląda okropnie. Nie zastajemy tu nikogo: ani Naczelnego Dowództwa, ani min. Becka z M.S.Z.-em, ani ambasad i poselstw zagranicznych. Jak poprzednio Naleczów, tak i Krzemieniec nie był dla dyplomatów cichym schronieniem. W kawiarience, gdzie chwilę popasamy, prezentuje się Generalowi młody ziemianin, tegoż nazwiska i herbu, wędrujący w poszukiwaniu pułku, do którego rezerwy należy. Młodzieniec aż dygoce z chęci walki i pyta o radę. Cóż mu poradzić?

Według otrzymanych, bardzo nieokreślonych wskazówek obieramy drogę na Wiśniowiec do Zbaraża. W tym podobno kierunku ruszyła kolumna Naczelnego Dowództwa. Przybywamy tam około godz. 19-ej i zapewniamy sobie nocleg. Nic innego nam nie pozostaje, bo i benzyny brak już, i nie ma żadnych wieści o tych, których gonimy.

Dopiero 15-go rano widzimy nieskończony ciąg pojazdów wszelkiego rodzaju, ciągnących do Tarnopola. Podobno w nocy przejechał Prezydent Mościcki, ministrowie Sławoj-Składkowski i Kościłkowski. Mimo kwitów ze Lwowa, mamy takie trudności z otrzymaniem benzyny, że Generali musi aż interweniować w starostwie. Oplaca się to pod każdym względem, bo wreszcie dowiadujemy się czegoś, co wydaje się pewniejsze. Wypada wracać do Dubna, ale mniejsza o to, jeżeli cel nasz osiągniemy.

Na drodze kurz, zatory, sznury samochodów. Jadą całe tabor straża ogniowej; na furmankach spotykamy ciągle funkcjonariuszów policji państwowej z rodzinami. Mamy wrażenie, że ta ewakuacja powiększa chaos. Natomiast robimy uwagę, że prawie nie widać ruchu Żydów. W związku z poprzednimi wiadomościami ze Lwowa, wydaje się to prawie znamienne.

Spotykamy i 12 dział przeciwlotniczych, co napawa nas dobrą myślą. Może to działa bezpośredniej obrony Naczelnego Dowództwa? Jedziemy znów przez Wiśniowiec. W Krzemieńcu stajemy około godz. 9-ej min. 30. W Dubnie jesteśmy w południe.

Tu jeden z generalów kieruje nas na Kołomyje, gdzie — według niego — powinno się znaleźć Naczelne Dowództwo. Spotykamy jeszcze kilku generalów, z którymi na polecenie Generala rozmawiam. Zauważam, że o ile szeregowie i oficerowie, niżsi i wyżsi, na ogół garną się do Generala i cieszą się, sądząc, że obejmie komendę, o tyle wśród generalów panuje chłód albo zazenowanie. Jeden z nich wyraźnie uchyla się od rozmowy z Generaliem i dopiero potem się z tego jakby tłumaczy. Inny znów każe mi podziwiać bajeczną jakoby gotowość obroną Dubna i innych kresowych miast, czego nikt z nas dopatrzeć się nie może. Przy najlepszej woli, energii i męstwie ludzi nie ma sprzętu, ani urządzeń obronnych, nie tylko przeciwlotniczych i przeciwpancernych, ale w ogóle żadnych. Bo te na prędcie szykowane okopy i zasieki nie na wiele przydać się mogą. Zresztą i garnizoniki są drobne, przypadkowo zestawione.

Wracamy tą samą trasą do Zbaraża, dokąd przybywamy o godz. 22 min. 30, szalenie zmęczeni. Te dwa dni kręcenia się w kółko za nieuchwytnym cieniem były chyba najbardziej męczące z całej podróży. Nowin prawie żadnych, mnóstwo wszelakiego balamuctwa. Przejazdy zawałonymi przez uchodźców drogami — ciężkie i trudne. Nawet nasz niezmordowany kierowca ledwo już sobie daje radę.

To też z przyjemnością odpoczywamy chwilę w miejscowym klubie. Zbaraż wygląda wcale dobrze, lepiej, niż inne miasta, któreśmy mijali. Jest jakaś myśl obronna, są zarządzenia, jest z kim mówić. Spotykamy kilku znajomych oficerów, którzy opowiadają wprost cudeńka o ewakuacji. Mam dobry nocleg w klasztorze.

Dowiadujemy się też, że nazajutrz trzeba będzie jechać do Tarnopola, bo tam rzekomo przetnie trasę Naczelnego Dowództwa. Zasypiamy w grodzie Jeremiego, ani się domyślając, że dotychczasowe niepokoje są niczym wobec tego, co nas wraz z całym krajem wkrótce czeka.

DZIEŃ GRÓZB I WRÓZB

Na skutek prób dowiedzenia się

czegoś pewnego przez telefon, wyruszamy ze Zbaraża 16-go września dopiero przed samym południem, wysłuchawszy uprzednio mszy świętej, z jaką przeor wystąpił na intencję Generala. Niebawem dojeżdżamy do zatłoczonego Tarnopola. O tym, żeby dostać pokój w hotelu, mowy nie ma. Jedziemy do województwa.

Generali rozmawia z wojewodą, który robi wrażenie bardzo rozumnego i rzeczowego człowieka. Ten nareszcie mówi, że marsz. Śmigły-Rydz przejeżdżał tu wczoraj, kierując się na południe. Zresztą — wiadomości źle. Rosja rzekomo popiera pretensje litewskie do Wilna i będzie pomagała do ogłoszenia Wilna stolicą Litwy. Idzie ofensywa na Grodno. W Rumunii złoty spadł do 2-ch lei. Rumuni dostarczają Niemcom do 30-tu cystern naftę dziennie i dziwią się, czemu my nie kupujemy. Jak na sojuszników — nieźle.

W małej kucerni, gdzie nam dają coś do zjedzenia, spotykamy adm. Świrskiego. Zawiadamia Generala, że trzy kontrtorpedowce polskie działają w składzie marynarki brytyjskiej. W stanie przynębnienia, w jaki nas poprzednie nowiny wprawiły, staje się to pewną pociechą.

Jest to jakiś dziwny dzień. Podczas jednego z nalotów wyszedłem, aby sprawdzić, czy Kulakowski nie stoi za blisko przy samochodzie, zaparkowanym na skwerze. Spotykam kolegę pułkowego, który mi powiada:

—Słuchaj, nie pamiętam już, kto i kiedy, ale kazano mi powiedzieć ci, jak cię spotkam, abys się nie martwił, bo wszystko dobrze się skończy.

—Kto ci dał to polecenie?

—Kiedy właśnie nie pamiętam. Nie jestem przesądny, a do wróżb przywiązuję właściwą wagę. Ale muszę przyznać, że przy akompaniamencie lecących bomb wiadomość ta była przyjemna.

Obok kucerni spotykam znajomą urzędniczkę ze Sztabu Głównego. Widząc mnie, robi wielkie oczy i pyta:

—Jak to? Pan nie w Brukseli?

—A cóż ja tam mam do roboty?

—Przecież na trzy dni przed wojną został pan powołany z powrotem do służby stałej i wyznaczony na attaché wojskowego w Brukseli. Sama pisałam akt w tej sprawie, a pamiętam dobrze, bo myślałam, że jak pan wyjedzie, to mi pan odstąpi swoje mieszkanie.

Nigdy w życiu o tym nie słyszałem. Przecież cały czas byłem w Warszawie. Biegnę o tym zameldować Generalowi.

—E, chyba o kogo innego chodziło — powiada.

Obok Generala siedzi jeden z dawnych adiutantów gen. Sosnkowskiego. Ponieważ wybiera się do Lwowa, więc Generali daje dla gen. Sosnkowskiego różne polecenia. Oficer ten twierdzi, że przed 10-ciu dniami gen. Sosnkowski został mianowany premierem, ale nie wiadomo, czy o tym wie. Cóż to za komedia pomyłek? Przed 4-ma dniami w każdym razie nie nie wiedział. Jeżeli cała łączność jest taka, jak oś Naczelnego Dowództwa, to wszystko może się zdarzyć.

Natomiast nie są pomyłką ciągle dowody sympatii i zaufania, jakie Generali odbiera, gdziekolwiek się pokaże. Jak gdyby chciano wynagrodzić mu te długie lata, w ciągu których nie dano mu służyć Polsce tak, jak pragnął. Czuje się, że w tej chwili miałby wszystkich za sobą.

Nie zatrzymujemy się dłużej w Tarnopolu, bo Generali chce przenocować na wsi u jednego ze swoich znajomych. Docieramy tam pod koniec dnia. Ale pana w domu nie ma, a ogromny dwór zajęty przez wojsko. Wobec tego wyjeżdżamy w kierunku Trembowli.

Jedziemy pustą drogą wśród rozległych wzgórz. Obrzymimi falami wspina się ta ziemia. Ma

w sobie niewysłowny urok, bujność i sowitość. Ma także przernikającą melancholię. Nie można oczu oderwać od tego przestrzennego oceanu ziemnego, wzdymającego się na widnokręgu.

Słońce zachodzi nie czerwono, ale po prostu krwawo. Jak gdyby gigantyczna dłoń lała z nieba konwie żywej krwi. Jesteśmy wszyscy pod ciężkim wrażeniem tego zachodu, tak harmonizującego z rzeczywistością. Wysłaliśmy na chwilę z wozu, aby zmienić kieszkę. Wtem Stefczyk, tak zawsze spokojny i opanowany, chwytą mnie za rękę z żywymi oznakami wzruszenia:

—Patrz, patrz tam, na słońce! Czy widzisz?

—Gdzie?

—O tu, pod samą tarczą! Te zygaki! Przecież to całkiem podpis Generala!...

W tej chwili zbliżył się do nas Generali.

—O czym mówicie?

Stefczyk powtórzył. Generali lekko się uśmiechnął:

—Wiecie co? — powiedział — przed paru laty przepowiedziano mi, że w końcu 1939 roku gwiazda moja pójdzie w górę.

—Bo też idzie! — zawołaliśmy obaj.

—Może, ale szkoda, że w tak strasznej dla kraju chwili.

Późnym wieczorem wjechaliśmy do Trembowli. Kwaterujemy u Żyda.

CIOS W PLECY

Nazajutrz, 17-go września rano, otrzymujemy ze starostwa telefoniczną wiadomość o wkroczeniu bolszewików na linię Chorostków-Kopyczyńce-Czortków. Nasi gospodarze wdychają i okazują nam wiele sympatii, ale nie zdradzają ochoty ruszenia z miejsca. Robi to wrażenie, jakby już poprzednio wiedzieli, co się stanie.

Panuje zupełna dezorientacja. Nie wiadomo, czemu bolszewicy wkroczyli, w jakiej intencji. Przypominamy sobie lwowską rozmowę z gen. Żeligowskim. Ale też — pakt niemiecko-sowiecki.

O godz. 9 min. 30 ruszamy do Strusowa, gnani pogłoskami, że bolszewicy już pochodzą do Trembowli. W Strusowie i wszędzie, gdzie jest sposobność, Generali informuje oficerów o nowej sytuacji. Wszędzie powstaje przynębnienie, ale i chęć odporu.

Za Strusowem, jadąc w kierunku Buczacza, spotykamy podpułkownika Noela i Sokołowskiego w aucie, postrzelanym przez bolszewików koło Kopyczyńca. Była tam potyczka, a raczej napad 3 sowieckich samochodów pancernych i kawalerii na nasze kolumny. Samochód naszych informatorów miał czechosłowackie znaki rozpoznawcze i może dlatego się przeliznął. Ma jednak stłuczoną szybę, a kierowca ranny jest odłamkiem szkła w oko.

Jedziemy do Monasterzysk, gdzie Generali organizuje obronę ze stojącego tam elementu sanitarnego, posiadającego kilkadziesiąt karabinów. W Niżnim, dokąd udajemy się z kolei, Generali zatrzymuje się na moście i wydaje dyspozycje co do jego zniszczenia po przybyciu ciągnącego w tym kierunku naszego oddziału pancernego, który poleca zatrzymać dla obrony. Jedziemy dalej do Stanisławowa, dokąd przybywamy o godz. 14 min. 15.

W Stanisławowie duży ruch. Tu i ówdzie widać już błękitno-żółte, ukraińskie kokardy. Komendant garnizonu potwierdza groźne wiadomości; spotkany oficer dyplomowany powiadamia nas o ultimatum sowieckim dla Warszawy.

Jedziemy przez Nadworną i Delatyn do Kosowa, gdzie mamy napewno zastać Kwaterę Główną. Zresztą nie mamy innej drogi. Mimo tragizmu położenia, nie możemy oprzeć się zachwytowi wobec cudnych widoków, rozciągających się, jakby na nasze poeganie z odczyną, po obu stronach szosy. Wsie są spokojne i sennie, ludność zycziwa i nie zdradzająca ani wrogie postawy, ani nawet zbytniego niepokoju. Wszędzie jeszcze sporo letników. Tylko w wielu miejscach widać przygotowania do obrony, prawdopodobnie zaimprovizowane dzisiaj. Ciężko pomyśleć, że obrona ta jest co najwyżej przezwlečeniem agonii.

O zmroku dojeżdżamy do Kut.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 2391 książek

* Por. nr. 35 "Polski Walczącej" z b.r.

Armia Polska na Wschodzie

B.D.I.C

II.*

Dostać się do Armii Polskiej można dwiema drogami: koleją i samochodem. Tak w jednym jak i w drugim wypadku droga prowadzi przez pustynię. Podróż koleją jest bardziej przyjemna. Kolej iracka jest to coś pośredniego między normalną koleją europejską a wąskotorówką. Wagony jednak, szczególnie I kl. są bardzo wygodne. Każdy pasażer na noc dostaje trzy miejsca, może się więc położyć i wypocząć po całodziennej bieganinie po Bagdadzie. Kto jest bardziej wrażliwy na niską temperaturę irackich nocy zimowych, może za stosunkowo wysoką opłatą otrzymać pościel i dobre wełniane koce. Jednym słowem Europa jak się patrzy.

Jazda samochodem jest bardziej romantyczna, powiedziałabym — bardziej „bajkowa”. Najbardziej charakterystyczną cechą tej jazdy jest to, że się nie jedzie drogą, lecz na przelaj — przez pustynię. Jest to bodaj najbardziej historyczny szlak dziesięciu /z Bagdadu szlak ten prowadzi na północny wschód/. Tędy szły wszystkie najazdy Asyryjczyków, Persów, Mongołów na Zachód. Tędy szedł jedyny rewanż Europy — pochod Aleksandra Macedońskiego do Indji. Jest to więc tradycyjna trasa, wydeptana kopytami koni i wielbłądów, niczym niewyknięta, uświęcona jednak tysiącletnią świadomością, że tędy należy jechać. Szlak służył dobrze, dopóki nie było samochodów. Ten środek lokomocji, jako najbardziej wybredny, szuka lepszych warunków posuwania się, toteż nieraz trzeba zjeżdżać na kamieniste polacie i lawirować między najrozmaitszymi formami terenu. Teren tej części pustyni to istny labirynt pagórków, stożków, kopców, grzbietów i grzbiecików, jarów i wąwozów zupełnie martwych.

Gdy samochód posuwa się po tych wertepach, ciągle musi albo wdrapywać się na wzniesienia albo na lew na szyję zjeżdżać w dół. Pasażerowie są ciągle rzućani albo ku tylnej barierze /mowa o ciężarówce/ albo tworzą zbitą masę ciał obok przedniej ściany. Szofer ciągle musi uważać na kierunek. Zupełnie jak na morzu. Nie darmo wielbłąd został nazwany „okrętem pustyni.”

Gdy spadnie deszcz, nawet najbardziej drobny, pustynia przeistacza się w jedno wielkie, grzaskie, gliniaste błoto, z którego z największym wysiłkiem wyciąga się nogi. Wtedy wszelka komunikacja ustaje. Jednak nawet po największych ulewach woda sływa niezmiernie szybko, przez kilka godzin zamieniając wszystkie jary i wąwozy w koryta rwących potoków o żółto-brunatnej wodzie. Wystarczy następnie kilka godzin słońca i pustynia przybiera swój codzienny wygląd. Zwiertzała na słońcu skały — popękane i pocerzniane od wieków, tusta, także popękana glina, przykryta warstwą kamieni, między którymi usiłują rosnać nędzna trawa — oto jej odwieczne oblicze. W porze deszczowej cały krajobraz jest z lekka pociągnięty na zielono.

Pierwsze promienie wiosennego słońca jednak od razu zabijają tę zielen i znowu cała pustynia jest martwą i straszliwą krainą, w której panuje głucha cisza. Tradycja szoferska, co prawda nie tak dawna jak końska lub wielbłądzia — zdążyła jednak „wypracować” coś w rodzaju nowego szlaku samochodowego. Szlak ten nikogo nie obowiązuje i jeżeli ktoś zechce jechać, gdzie mu się będzie podobało, ani policja ani właściciele prywatnych gruntów nie będą stali na przeszkodzie. Policja iracka — nota bene posiadająca przesłoniczone konie arabskie pełnej krwi, wyhodowane w dolinach Tygrysu i Eufratu — jest do spraw bardziej ważnych, na przykład od tego, że ktoś kogoś zarznął w jakimś osiedlu /na pustyni bowiem można faktycznie zarznąć bezkarnie/. Ziemia zaś jest własnością Ałłaha, jak u nas w IX lub X wieku była — Boża. Właściciele gruntów na pustyni nie ma.

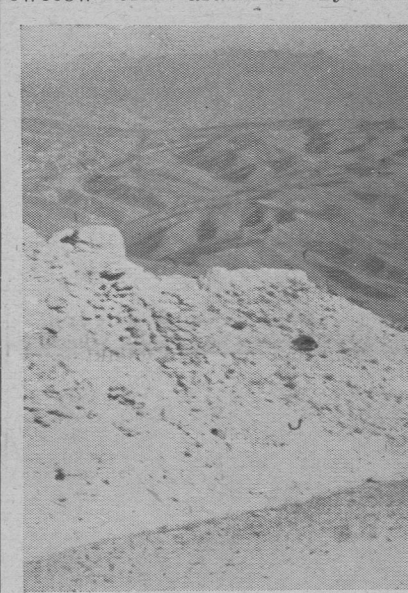
Niemniej skracanie drogi lub szukanie nowej jest niebezpieczne. W pustyni bowiem, a właściwie w tym martwym labiryncie skał można nadzwyczaj łatwo zbłądzić. Jeżeli zaś nie ma dobrego uzbrojenia a traf napatoczy

„pastuchów” uzbrojonych w potężne noże, to nie wiadomo, jak może się skończyć taka wycieczka.

Wreszcie jednak po kilkudziesięciu kilometrach podróży dojeżdża się do rzeki Diyala, którą przekracza się wąskim mostem dostosowanym do ruchu kołowego i kolejowego. Przez jezdnię tego mostu z jednakową łatwością przejeżdża lokomotywa iracka, przebiega osioł i wielbłąd, więc i samochód może przejechać. W tym punkcie, jakkolwiek by się jechało, trzeba się pogodzić z „szoferską trasą,” bo inaczej nie da rady sforsować głębokiej rzeki o wartkim nurcie, urwistych a nieraz spadających pionowo do wody brzegach.

Rzeka jest piękna. Z mostu wiadać, jak niekończące się gaje palm i ciemnych cyprysów ciągną się w dal, w której ciemno-zielone korony liści przeistaczają się w niebiesko-szarą linię. Kończy się ona gdzieś daleko za załamaniem rzecznej doliny.

Za rzeką zaczyna się dość dobra, asfaltowa szosa. Samochód po wertepach i wąwozach poprzedniego odcinka z ulgą wjeżdża na jezdnię. Niebawem ukazuje się malownicze, prowincjonalne miasteczko arabskie Ba'Quba, tonące w palmach i cyprysach. Tuż jest stacja kolejowa o tejże nazwie. W miasteczku — w przydrożnej karczynie — można się napić herbaty i kupić owoców oraz arabskich żywności



Droga przez pustynię

placków, zastępujących wszędzie na Wschodzie chleb, który w postaci europejskiej nie jest znany.

Razu pewnego jechałem z Bagdadu do Dowództwa Armii. Samochód po ciężkiej pracy stanął i ani rusz nie chciał jechać dalej. Czekać na naprawę, poszedłem zwiędzić stary meczet liczący ponad osiem stuleci. Słyszałem o nim jeszcze w Bagdadzie. „Stróżem Ałłaha” w tym meczecie jest stary Arab-uczony.

Długo szedłem skrajem brzegu rzeki wśród cyprysów i palm. Wreszcie meczet. Budynek z jedną kopułą wrosł w ziemię, na dwa metry, o tyle bowiem podniósł się grunt przez te osiem setek lat. Tuż przy świątyni stoi minaret całkowicie pokryty zieloną mozaiką, jedego kopuła ma fioletową, granatową i żółtą polichromię. Minaret wznosi się na wysokości trzech pięter, mimo że jego średnica nie przekracza dwóch metrów. Wspaniała budowla. Na spotkanie wyszedł muła — wspomniany Arab-uczony. Rozmowa potoczyła się łamaną angielszczyzną.

— „Polonizi?” /Polak?/ — spytał Arab.

— „Polonizi.”

— „Jeśli ty myślisz, że jesteś tu pierwszym Polakiem, to się mylisz. Tu przed tobą był generał Bem.” — Widząc moje osłupienie Arab dodał: — „Generał tu zawsze przyjeżdżał do mego pradziada, gdy robił inspekcję tureckiej artylerii w Bagdadzie... Lubił polować... Poniważ generał przestał być niewiernym i przyjął wiarę Mahometa... nieraz modlił się w tym oto meczecie... Zostawił tu swój znak... Możesz go obejrzeć... Przedtem zdejm buty i włóż te oto pantofle...” — Arab wskazał głową na stare trepiki leżące przed wejściem do świątyni. — „Wrzucić najpierw 100 filarów

do skrzynki.” /1000 filarów równa się jednemu dinarowi. Dinar jest zrównany z angielskim funtem/.

Weszliśmy do meczetu. Ściany pokryte mozaiką i wypisami z Koranu wykonanymi emalią. W jednej nawet zobaczyłem skrzynkę, a w niej polskiego orła — świadka bitwy pod Ostrolęką i obrony Woli... .

Długo staliśmy w milczeniu... Wreszcie muła powiedział:

— „Chodź — pokażę ci jeszcze coś...” Gdy weszliśmy muła wskazał mi na minaret — „Ta wieża ma tylko czterysta lat. Została zbudowana później, za czasów sultana Sulejmana. Uważaj, jak zaraz zaczniesz się kołysać i śpiewać.”

Istotnie, gdy niebawem zawił się lekki powiew wiatru i palmy zaszumiały, minaret zaczął się kołysać jak sosna w wysokopiennym lesie. Równocześnie z koronkowej framugi i rzeźb zaczęła się wydostawać jakaś nieuchwytna melodia podobna do dalekiego śpiewu.

— „Ten minaret kołysze się i śpiewa oto już 400 lat” — z dumą powiedział starzec. „No, teraz idź...” — Starzec podniósł rękę i wyciągnął wskazujący palec do góry, co oznaczało błogosławieństwo. /Palec podniesiony w górę oznacza, że Ałłah jest jeden, a Mahomet jego jedyny prorok/. — „Nie zapomnij opowiedzieć to wszystko swoim i powiedz, że przed wejściem do meczetu trzeba wlo-

z rzadka otoczony niskimi budynkami o płaskich dachach i morzem namiotów. Po środku placu na wysokim maszcie powiewa polska chorągiew. Jest to główny plac położony w środku m.p. Dowództwa Armii Polskiej na Wschodzie. Do koła kipi życie żołnierskie.

Duża biało-czerwona flaga hardo łopocze jakby mówiąc: „Jestem tu, lecz niebawem pójdę na Zachód — do Polski.” Na jednym z budynków — pierwszym od strony zachodniej powiewa mniejsza flaga, postrzępiona i wyblakła. Pamięta czasy Buzuluku. Powiewa ona na budynku kwatery polowej Dowódcy Armii — generała Andersa.

Budynków takich jest mało, mniej więcej tyle ile palców na jednej ręce, może nieco więcej. W budynkach prócz kwatery polowej Dowódcy Armii mieszczą się: kwatery, a zarazem pomieszczenie służbowe szefa Sztabu Armii — gen. R., Kuria Biskupia i najważniejsze elementy Sztabu Armii oraz Brytyjska Misja Wojskowa, nad którą powiewa flaga Zjednoczonego Królestwa. Mniej ważne oddziały oraz służby, a także oddziały przydzielone organizacyjnie do Sztabu mieszczą się w namiotach.

Jest ich całe miasto, posiadające place, ulice, zaułki... Ulice są wyciągnięte w proste linie, posiadają rynsztoki i białe kamienie na rogach. Po obu stronach tych

przywiązany do dwóch rzeczy: wody i komunikacji. Jeżeli jest kolej można się obejść bez szosy i odwrotnie. Wody jednak w pustyni nie zastąpi. Poniważ jednak szosa, o której już była mowa urywa się w rejonie oazy X... skutkiem czego w czasie pory deszczowej i bezpośrednio po niej wojsko nasze jest odcięte od stolicy kraju, miejsca postojów poszczególnych oddziałów grupują się tam, gdzie jest i kolej i rzeka. Takim rejonem jest rejon postoi Dowództwa Armii i przylegające okolice. Tu bowiem przepływa w pobliżu dopływu Diyali — uroczą rzeką Halwand. Niedaleko do zwierzających wzniesień przystula się stacja X... W tym więc rejonie skupiła się część naszego wojska.

Gdy się wyjedzie z rejonu Dowództwa Armii w kierunku wschodnim i wjedzie się na jakiś grzbiet lub wzniesienie, rozciąga się dokoła nieoczekiwany widok: jak okiem sięgnąć, wśród falistych żółtawo-piaskowych polaci, a w porze deszczowej z lekką podcielenością na zielono, ciągną się namioty. Namioty ciągną się całym kilometrami. Za jednym rzędem widać następny, za nimi znów inne. Czasami rzędy zlewają się w białawe pasy, które pod dyktando terenu następnie rozbiegają się na cieńsze linie. Czasem te szeregi i rzędy giną w „martwych polach,” aby znów ukazać się na jakimś zboczu lub grzbieciku. Wreszcie daleko, daleko na horyzoncie widać długie białawe smugi, biegnące gdzieś w nieznaną dal. To także są polskie namioty.

Czasem namioty podchodzą pod samą szosę. Wtedy widać wzorowo uporządkowane szeregi. Szeregi grupują się w głąb. Wszystko jest doskonale wyrównane i ukształtowane w karne prawidłowe formy. OPL nie jest tu brane pod uwagę. Jest to zbędne. Przed namiotami, starym, pięknym zwyczajem polskim, z różnokolorowych kamyków ułożono rozmaite stylizowane ornamenty, w których orzeł polski oraz sylwetka Polski w granicach 1939 roku zajmują pierwsze miejsce. Wśród rzędów namiotów można dostrzec długie, a ostatnio bardzo długie szeregi czołgów, samochodów i dział na potężnych kołach z lanej gumy, ustawionych w karnym ordynku. Wszystko to jest pomalowane na jasno-piaskowy kolor — kolor pustyni. Gdy się przejeżdża obok „kawalerskich” oddziałów, nad namiotami widać powiewające proporczyki naszych ułańskich i szwoleżerskich pułków, buńczuki i skrzydła husarii. Tradycja tam jest pielęgnowana.

Samochód mknie szybko po dobrej szosie. Rzędy namiotów znikają, kryjąc się w załamaniach terenu. Smugi na horyzontach szarzejają i zlewają się z tłem. Wreszcie znów posterunek żandarmerii i zaczyna się martwa i groźna cisza pustyni. Pierwszy /nazywam to dowolnie/ rzut Armii Polskiej na Wschodzie znikł już, jak miraż.

Po obu stronach szosy bieżą tym razem prastare, podobne do księżycowych — kratery wygasłych przed milionami lat wulkanów. Kratery są zasypane pyłem setek stuleci i zniekształcone późniejszym ruchem górotwórczym. Nasz polski krajobraz powstały w epoce polodowcowej, liczący dopiero 20 — 30 tysięcy lat jest dzieckiem w porównaniu z tym starym, zgrzybiałym i złowrogim w swej starości i zgrozie widokiem umarłej krainy.

Od czasu do czasu szosa wznosi się po łagodnych stokach niezna-cznych fałd i wtedy na dziesiątki kilometrów rozciąga się ten ementarz ziemi. Zniekształcone kratery, stożki, piramidy o dziwnych kształtach — powstałe na skutek zderzenia się granitowych fałd w czasie kurczenia się skorupy ziemskiej: wszystko to napawa duszę smutkiem i lękiem. Powierzchnia tych upiornych form terenowych jest także pokryta warstwą kamieni i rumowiskiem skalnym. Między kamieniami w czasie deszczów, nieśmiało przebiega rzadka trawa, która, gdy na wiosnę promienie słoneczne staną się nieco silniejsze — natychmiast wędnie. Tymczasem, korzystając z tej ubogiej zieleni, uzbrojeni w noże pastuchy wyprowadzają swe czarne barany, które wśród kamieni z trudem wyciągają war-gami żdźbła trawy.

Wjeżdżając po kilkugodzinnej podróży po pustyni, człowiek jest nieco oszołomiony tym ruchem, który tu się rzuca w oczy. W parkach przy maszynach pracują mechanicznie. Dalej widzi się ćwiczące oddziały. Z namiotów dochodzi stuk maszyn do pisania. Wszędzie dużo gońców, wartowników, żandarmerii. Wszystko to pracuje spokojnie i poważnie. Jest to drobna część rdzennej Polski, rzucana w tę bezkresną pustynię. Czują się, że ta część narodu w spokoju, rzetelnie przygotowuje się do ostatecznej rozprawy.

W pustyni postój wojska jest

ARNOLD JASKOWSKI

W obronie czystości słownictwa

Było to w roku 1917 we Francji. Zapytany o zawód, ochotnik Polak z Ameryki odpowiedział: "Rumowałem na inżyniera w maszynie." Jednak po półrocznym pobycie w 1-ym pułku strzelców gen. Hallera, ten sam żołnierz mówił już poprawnie po polsku. Było to zresztą jego ambicją.

Inny ochotnik, z francuskiej Legii cudzoziemskiej, zwykł był mawiać: "Dyrekcja na czarną kabanę," albo: "Bón, panie szef de pies." Ale i ten, gdy sam został działaniem /*chef de pièce*/, pień i się, gdy mu kto wszystkich części działka piechoty nie umiał wyczyć po polsku.

To też dziwne się wydaje, że dziś, gdy na przeszkodzie rodzimego słownictwu nie stoi wiekowa niewola, gdy tylko cztery lata dziela nas od okresu, w którym Siły Zbrojne posiadały ustalone na wszystko nazwy — że dziś właśnie operujemy słowami w rodzaju: "fighter," "destroyer" czy "tank." A jeszcze gorzej jest, gdy się takie "angielizowanie" polskiego słownictwa propaguje. Mammy na myśli artykuł p. K. Zbyszewskiego: "Nie obawiamy się słów angielskich" w nr. 33 "Wiadomości Polskich." Trudno zgodzić się z autorem w jego poglądach. Co zaś do wywodów, to nie bardzo przemawiają do przekonania.

Nieście jest, że w Polsce maszt chciano nazwać dyszlem, a reję orczykiem. Nieście jest też, że Angielcy okręty podwodne nazywają "U-boat." Terminu tego używają oni tylko dla określenia niemieckich okrętów podwodnych /jako imię własne/. Tak samo mówi się "E-boat" albo "Messerschmitt." Nie znaczy to jednak, aby angielskie okręty podwodne, ścigacze czy samoloty nazywano "U-boatami," "E-boatami"

i "Messerschmittami." Na to są nazwy: *submarine, motor-torpedo-boat* /M.T.B./, *motor-gunboat* /M.G.B./, i nazwy własne poszczególnych typów brytyjskich samolotów. Tylko część prasy polskiej powtarza bez zastanowienia termin "U-boat," choć jeśli już chce go koniecznie używać, to powinna stosować pisownię niemiecką: "U-boot."

Zgoda, że kontrtorpedowiec nie jest terminem polskim. Można by go zastąpić dosłownym tłumaczeniem: "niszczyciel." Ale cofać się do terminu zupełnie nam obcego "destroyer," to to samo co nazywać Siły Zbrojne "Wehrmacht," a przemyk — "defilé." Już i tak często zapomina się, że istnieją słowa polskie, jak natarcie, umocnienie, nawierzchnia, żaloga, prostownik... Czyż namiot mamy znów nazywać "pałatką" lub "celtem"?

Wodno-samolot część prasy polskiej uporczywie zwie hydroplanem, choć hydroplan nigdy nie latał, bo jest to przyrząd pływający, poruszany śmigłem. "Hydroplanować" znaczy ślizgać się po wodzie przy pomocy silnika. Termin "hydroplan" — zamiast wodno-samolotu — powstał z wypaczenia cudzoziemskiego słowa "hydro-aeroplan," przez niebaczne opuszczenie zasadniczego pierwiastka "aero." Oto do czego prowadzi nieprzemysłane przyswajanie wyrazów obcych: do zatracenia ich zasadniczego sensu. To też latający hydroplan jest takim samym nonsensem, jak pływająca lokomotywa.

Bywali ludzie, którzy na samochód mówili "auto" a na sklep tytoniowy "trafika." Nie dowodzi to bynajmniej, że mieli rację. A przykładem, że własne przemysłane słownictwo samoczynnie usuwa obce naleciałości, jest choćby

polskie słownictwo kolejowe. Na drogach żelaznych Rzeczypospolitej skończono już dawno z wekslowaniem, szybowaniem, centralizowaniem, i t.d. Mówi się przetaćcać, zesrodkować, zwrotnica, wiazar, zóraw, zderzak, sprzęg, obrotnica. Wszystkie te słowa powstały po roku 1922-im, a mimo to przyjęły się powszechnie.

Jeśli nie można tego samego powiedzieć o terminologii morskiej, opracowanej bardzo starannie pod przewodnictwem profesora Adama Kleczkowskiego w Krakowie — to przyczyną jest nie brak odpowiednich wyrazów, ale słabe pojęcie społeczeństwa polskiego o sprawach morskich. Powtarzano bezmyślnie zapożyczone terminy obce, dlatego, że nie znano własnych. Jednakże zarówno w Szkole Podchorążych Marynarki Wojennej, jak i w Państwowej Szkole Morskiej słownictwo było ustalone.

Jeśli pewna część prasy polskiej przez nieświadomość, niedbalstwo i niechlujstwo pisała jeszcze "personal," "szpera," "marka," "separatka" czy "gilza," to były to już ostatnie przebliski zamierającej gwary z okresu zabo-

row. Ta sama kategoria ludzi upiera się dziś przy terminie "armia," zamiast Wojsko, lub gorzej — zamiast Siły Zbrojne /Wojsko, Marynarka, Lotnictwo/. Są to ostatni Mohikanie, którzy, ufajmy wyginą już niedługo.

Gdybyśmy dalej mieli rozmawiać kategoriami p. Zbyszewskiego, to z każdym nowym sojuszem musielibyśmy przyswajając sobie słownictwo nowego sojusznika. Dziś mówić "fajter" i "intruder" a jutro w Wolnej Francji — "szaser" i "harceler." Z Rosji przyjęlibyśmy termin "szturmowik," a może i "politrak." Po federacji z Czechami, zamiast długiego, polskiego terminu "hamulec bezpieczeństwa," przyjęlibyśmy znacznie krótszy "zachranna brzda." Gdyby zaś Japonia przeszła do naszego obozu, woalibyśmy "banzaj," boć to przecież i ładniejsze i krótsze od naszego "niech żyje."

Dodajmy do tego pisownię i wymowę. Wyobraźmy sobie rodzaków w Kraju, przyswajających sobie tajniki języka angielskiego... Aby im to ułatwić zaczniemy na wzór naszych wschodnich sąsiadów udźwiękować pisownię na sposób dostępny uchu i oku szereżnych mas. I będziemy pisać jak Rosjanie: "Wejwel," "Guł," "Czercził," "Edinbro," "fler," "majnlejer," "ejmarmarszał" i "konżugejtor." Nie będziemy mieli prawa się dziwić, jeśli rodacy w Kraju odeślą nas do angielskiego "asylum," jako że to znacznie lepszy termin od długiego "zakład dla obłąkanych."

Nie wiem, czy autorowi artykułu znana jest historia rosyjskiego słownictwa morskiego. Otóż Piotr Wielki długo czekał, aż jego admirałowie je stworzą. W końcu zniecierpliwził się, zamknął ich w pokoju na klucz i oświadczył, że

nie da jeść i nie wypuści, póki nie przedstawią mu gotowego słownika. Głodni i przestraszeni admirałowie przepisali wówczas żywcem "Holenderski Słownik Morski," zmieniając tylko czasem końcówki lub wymowę. To też do dziś dnia marynarka rosyjska używa takich miłych wyrazów jak "rangout," "szpangout," "bom-bram-sten-ga," "bakort," "szturwał," "szturman," "szpilszpak" i t.d.

Chwalić Boga, język polski nie jest aż tak ubogi. I choć zgodzić się można z p. Zbyszewskim, że niektóre słowa o cudzoziemskim pochodzeniu zyskały sobie prawo obywatelstwa, to jednak nie widzimy powodu do wytwarzania nowych, "sezonowych" naleciałości, a tym bardziej do zastępowania utartych terminów polskich — angielskimi.

Nikt nas nie zamknął na klucz i nie każe nam się spieszyć, gdy o nowe terminy chodzi. Znajdą się i one. To też baczmy, abymy nie upodobnili się do admirałów Piotra Wielkiego. Bo stać nas z pewnością na więcej, niż na "szpilszpak," "grajcarki," "fajtery" i "runowanie w maszynie."

Autor artykułu pisze: "Nasi puryści artykowi są to ludzie mało czytani i niechętnie czyniący użytek ze swych klepek mózgowych." Nie jest widać w zgodzie ze swym redaktorem naczelnym, który tak często i w sposób raczej napastliwy wytykał publicznie innym "niechlujstwo językowe." Przesada w jakimkolwiek kierunku nie jest rzeczą pożądaną, nawet gdy wypływa z dobrych chęci. Dobrymi chęciami już nieraz wybrukowano piekło. A Polacy, to nie tylko "nie gęsi," ale też nie papugi.

JULIAN GINSBERT

HAVE YOU ANY SKIN TROUBLE?

ST. JAMES' BALM
ANTIVIRUS OINTMENT

DESTROYS GERMS
AND PREVENTS THEIR DEVELOPMENT

Send for **FREE SAMPLE**

MEDICO-BIOLOGICAL LABORATORIES Ltd
CARGREEN ROAD, LONDON, S.E. 25

Rozmaitości wojskowe

Sukcesy rosyjskie są ważne nie tylko z powodu wpływu, jaki mają na ogólną strategię Sprzymierzonych, ale także dlatego, że wydatniły słabość armii niemieckiej, i to słabość bezwzględna.

Zaczęło się od ofensywy zimowej Sowiec. Potem przyszedł 1500 milowy pościg Montgomery'ego za Rommel'em zakończony zniszczeniem 200.000-nej doborowej armii — głównie niemieckiej — w Tunisie. W roku 1942 sowieckie uderzenie wiosenne pod Charkowem, które miało ubiec i opóźnić ofensywę niemiecką, sparaliżowało wprawdzie chwilowo Niemców i przesunęło ich ofensywę letnią o drogie dwa miesiące, ale potem Niemcy nie tylko z łatwością odebrali Charków, ale "przejechałi się" po armii sowieckiej głęboko w Kaukaz, z tą samą oszalałą szybkością, jaka charakteryzowała ich wszystkie dotychczasowe podboje. W roku bieżącym rolę jak gdyby się odwróciły. Niemcy rozpoczęli ofensywę w Rosji, aby ubiec i opóźnić atak sowiecki, a kontrofensywa nie tylko złamała ich siłę uderzenia, ale wyparła Niemców z potężnej brzońskiej forticy Orzeł i z Charkowa. Skoro więc nawet niemiecka ofensywa letnia spala na panewce, to niewątpliwie "psuje się coś w państwie duńskim."

Morley Richards, korespondent wojskowy "Daily Expressu" omawiając te zadziwiająco słabą armię niemieckiej odpowiada na cztery pytania: 1/ jaki jest obecny stan "Wehrmachtu"? 2/ jakie są jego plany? 3/ kim są jego przywódcy? 4/ jacy ludzie obalą Hitlera i zaczynają targować się o warunki pokojowe?

Ad 1/ stwierdza przede wszystkim, że choć pozornie liczebność armii niemieckiej nie doznała uszczuplenia, to jednak jakość żołnierza znacznie się pogorszyła — nie mówiąc o takim niezbyt nowym wojsku, jak Słowacy, Alzacy, Kroaci, Czesi, Holendrzy i wielu innych. Co jednak ciekawsze dywizja pancerna, która liczyła 450 czołgów idzie dziś do ataku, mając ich zaledwie 160. Cały szereg dywizji składa się z dwu pułków i liczy nie więcej jak 7-8000 ludzi, zamiast 12.000. Także jakość i rozmaitości broni poważnie się zmniejszyła. Dotyczy to szczególnie dział, w których Niemcy mają poważne braki, tak że często używają czołgów jako artylerii. Jest to wynikiem początkowego nastawienia przemysłu niemieckiego na "Blitzkrieg" t.j. na produkcję głównie czołgów i bombowców nurkujących, której nie

umieli widocznie w porę zahamować i przestawić.

Ad 2/ Nie widać zarysu żadnego planu ofensywy. Nawet propaganda niemiecka nastawiła się ostatnio na zachwalanie strategii obronnej.

Ad 3/ Generałowie, którzy po ostatniej wojnie zrzucili winę za przegrana na "uderzenie nożem w plecy" i którzy w ten sposób starali się zamaskować klęskę militarną, są dzisiaj znowu panami sytuacji. Bardzo zreżymie wymawiali oni Hitlera na czoło i przygotowali teren pod nowy "trick," który ma ich uniewinnić wobec świata i wobec narodu niemieckiego od odpowiedzialności za jeszcze jedną klęskę.

Ad 4/ Oni — generałowie niemieccy — jak w 1918 r., albo sami, albo przez podstawionych cywilów, obalą Hitlera i rozpoczną pertraktacje pokojowe oraz... plany nowej wojny.

W związku z powyższym, warto przytoczyć znamienne uwagi na temat składu armii niemieckiej, podane w artykule "Soviet War News" p.t. "Wehrmacht diluted." Stwierdzają one, że trzy czwarte dywizji niemieckich znajdujących się w pierwszej linii na froncie rosyjskim, jest mocno przesianych żołnierzami nie-niemieckiego pochodzenia: Polakami, Czechami, Austriakami, Francuzami z Lotaryngii i t.d. Ilość tych nie-niemieckich żołnierzy ocenia się w poszczególnych dywizjach na 5-30%. N.p. 30% 38-iej i 15-tej dywizji piechoty to Polacy i inni Niemcy. W 39-tej dywizji piechoty 30% stanowią Austriacy, a 20% podobno Polacy. "Czysto aryjskie" są tylko dywizje czołgów i rezerwa naczelnego dowództwa.

Bardzo ciekawy artykuł — który i dla Polaków zawiera naukę i morał — ukazał się 7.8.43 w "Timesie" p.t. "The Army after the War." Autorem artykułu jest poseł do Izby Gmin, Col. J. R. J. Macnamara. Oto główne jego tezy.

Przedwojenny stan armii angielskiej był opłakany. 218.000 regularnego żołnierza — przy zobowiązaniach olbrzymiego Imperium — to naprawdę niewiele. Tak niewiele, że trzeba było zimnej pewności siebie, bezwzględności i zdecydowania Anglików i bardzo

wiele wyteżonej pracy i inteligencji, aby z beznadziejnej, zda się, sytuacji 1939/40 roku wywindować się do dzisiejszego poziomu. To nie może się powtórzyć. Anglia musi mieć po wojnie armię, która siłą i wyszkoleniem będzie stała na wysokości zwiększonych powojennych zadań i zobowiązań.

Col. Macnamara proponuje wprowadzenie obowiązkowej służby wojskowej skombinowanej ze służbą pracy. Ochotnicza armia istniałaby jednak nadal i rekrutowałaby się z tych, którzy przeszli obowiązkową służbę. Jej przeznaczeniem byłaby służba w koloniach.

Najwięcej miejsca jednak poświęca autor sprawie szkolenia oficerów. Proponuje, aby kadeci marynarki, wojska i lotnictwa szkoleni byli wspólnie w jednej szkole. Cały szereg przedmiotów oraz zaprawa fizyczna byłaby wspólna. "Nie widzę powodu, dla którego wszyscy nie mieliby się uczyć wspólnie wiosłarki, żeglowania, nawigacji, szoferki, marszu, jazdy konnej, spadochroniarstwa, obserwacji lotniczej a nawet pilotażu. Gdy młody oficer zostanie w ten sposób przeszkolony nie powinien ani osiąść na laurach ani czuć rozczarowania i zawodu. W wieku lat 23-24 powinien zostać przeniesiony ze swej jednostki do niższej szkoły sztabowej..." "Między 26-tym a 35-tym rokiem życia, powinien przejść służbę w pułku i w sztabie, powinien otrzeć się po świecie — na stażu w armiach Dominów względnie armiach cudzoziemskich — i uczyć się języków. Mając lat 35, może przejść drugi kurs sztabowy, którego celem byłoby przygotowanie do dowodzenia batalionem."

Z tymi wywodami Col. Macnamara polemizuje F. O. Barber w liście do "Timesa" z dnia 14.8.43. Zdaniem jego Col. Macnamara nie zrozumiał konieczności obecnej wojny. Armia francuska miała teoretycznie doskonałe wyszkolonych oficerów i rezerwy a mimo to zawiodła. Było to właśnie z powodu... obowiązkowej służby wojskowej, która "zmusza armie do stosowania przestarzałych metod. Jeśli ma się bowiem stale pod bronią setki tysięcy ludzi i dla milionów rezerw gotowa broń i ekwipunek, to aby utrzymać armię "up to date" należy zmieniać te miliony ton uzbrojenia przynajmniej co dziesięć lat. Jeśli

się tego nie czyni, armia staje się przestarzała, a jeśli się to czyni to powoduje to wydatki, których żaden rząd nie zechce ponieść."

Dlatego Barber proponuje armię kadrową, a nie obowiązkową służbę wojskową. "R.A.F. pokazał, że siła zbrojna może być szczupła, ale sprawna. Przed wojną R.A.F. był słaby, ale nie można było powiedzieć, aby jego poglądy czy wyposażenie były przestarzałe."

Dyskusja na pewno na tym się nie skończy, ani nie ograniczy się tylko do głosów prasy. Powinniśmy ją uważnie śledzić. Angielcy przekonałi nas już chyba dowodnie, że można się u nich wielu rzeczy nauczyć.

Imponującą pochwale polskiego lotnictwa znajdujemy w "Daily Telegraphie" z 13.8.43, w artykule p.t. "Fighting Prowess of Airmen of our European Allies," by Air-Comdre. E. L. Howard-Williams.

"Escorted by fighters of the Allied Air Forces"... Cóż to oznacza? Wydaje mi się, że należy im oddać hold. Zobowiązując się walczyć do ostatka, polscy lotnicy przypomnieli światu dnia 1 lipca rolę, jaką oni i ich przyjaciele, którzy wybrali dumne wygnanie, odegrali w tej wojnie...

Polskie siły lotnicze są znacznie silniejsze niż siły innych narodów europejskich. Pod dowództwem gen. Stanisława Ujejskiego osiągnęły niebywałą sławę na polu bitwy. Za część ich wyczynów mogą oświadczyć rzeczy, gdyż miałem raz zaszczyt dowodzić 1000 ich oficerów i 3000 żołnierzy.

W skład ich lotnictwa wchodzi 6 dywizjonów myśliwców dziennych — głównie na "Spitfire'ach" i jeden dywizjon nocny. Trzy dywizjony bombowców są pod polskim dowództwem.

Historia ich jest godna uwagi. W Polsce jeszcze, zniszczyli 1000 samolotów niemieckich, z czego 127 stracono nad Warszawą a 53 nad Helem. We Francji 140-tu polskich pilotów służących w dywizjonach francuskich zlikwidowało 55 Niemców. W Wielkiej Brytanii jeden dywizjon zniszczył podczas "Battle of Britain" 126 samolotów niemieckich, 11 września 1940 r. dwa dywizjony straciły 19 z 80 straconych tego dnia Niemców. 15 września stracili 28 z rekordowej liczby 185. Włącznie z Polakami latającymi w dywizjonach an-

gielskich stracili podczas "Battle of Britain" 190 Niemców. Podczas wyprawy na Dieppe jeden dywizjon polski mógł się poszczycić 9½ zwycięstwami — najwyższą cyfrą ze wszystkich dywizjonów. Inni Polacy stracili dalszych 8. Do 9 września ubiegłego roku ich dywizjon nocny na "Beaufighter'ach," którego dowódcą jest odznaczony "Virtuti Militari" /"polskim V.C."/ i "Krzyżem Zasługi" — stracił nocą 16 samolotów. W ciągu 23 minutowego raidu t.zw. "baedeckerowskiego" Niemców na Exeter Polacy stracili cztery maszyny wroga.

Suma ogólna ich zwycięstw w samej Wielkiej Brytanii wynosi do dziś dnia 536 straconych, włącznie z 104 przez polskich pilotów służących w R.A.F.-ie. Z tej liczby przynajmniej 314 zostało straconych przez ich sześć dywizjonów myśliwskich. Dywizjon Kościuszko /173 1/3/, Toruń /43/, Inne dywizjony /30 1/3/, Wilno /29 1/3/, Warszawa /21/, Lwów /17/. Cyfra 173 1/3 stawia dywizjon Kościuszko na drugim miejscu na liście dywizjonów Fighter Command.

Bombowce polskie brały udział w tysiącach nalotów nad Niemcami i okupowaną Francją, włącznie z nalotami "1000 bombowców." Generał Sikorski stwierdził niedawno, że w wielkich nalotach bombowych R.A.F.'u polskie bombowce stanowiły regularnie około 10% maszyn. Do lipca 1942 r. latało 2987 polskich żałog. Do 20 lutego dokonali oni 4752 wypraw, zrzucając 11.500 ton bomb, nie mówiąc o rozlicznych lotach, podczas których stawiali miny. Nadto przeprowadzili oni drogą przez Zachodnią Afrykę 1000 samolotów.

P.A.F. liczy obecnie 12.000 lotników, myśliwców dziennych i nocnych oraz załogi bombowców. Służą oni również w Coastal Command i zatopili cały szereg okrętów podwodnych. Mają swe własne szkoły lotnicze. Około 70% nauczyło się angielskiego.

Ponieśli ciężkie ofiary. Do sierpnia 1942 r. 99 myśliwców zostało zabitych a zaginęło 54 /z czego 17 jeńców/. Załogi bombowców miały 174 zabitych a 223 zaginionych /z czego 85 jeńców/.

Oprócz odznaczeń polskich i innych których zdobyli bardzo wiele, zasłużyli sobie na 2 D.S.O., 61 D.F.C. /2 z wstęgami/, 3 A.F.C., jeden M.M., 37 D.F.M., i 4 A.R.M. Pięć D.F.C. dostali piloci, którzy razem zestrzelili 44 samoloty nieprzyjacielskie.

DOMINIK SZCZERBIC

Przeżywamy piątą już wrzesień drugiej wojny światowej. Wrzesień ten jest pełen nadziei i planów na przyszłość. Układa się nie tylko plan odbudowania Warszawy, prognozy pierwszego tygodnia w Polsce, ale podobno nawet ktoś prywatnie rzucił już inicjatywę opracowania całego "ceremoniału" naszego powrotu. Niewątpliwie świadczą to dobitnie o niezłomnym duchu emigracji, o potęgę wiary i o czym kto chce. Jednak jest w tej sprawie wielkie "ale", które jeszcze nigdy nie nadało się do tak szczerego omówienia, jak właśnie w chwili obecnej, w miesiącu bieżącym, a piątym z kolei wrzesniu wojny.

Cztery lata wojny nerwów, cztery lata rozłąki z Krajem zmieniły wielu ludzi z naszej emigracji, zachwiały podstawę moralną pewnych spraw, nadzarpnęły poważnie tradycje polskiego zwyczajów, a na pewnych odcinkach przekreśliły — obowiązujące niegdyś w pewnych zawodach czy okazjach — formy. Myślę czasem, że tragedia niektórych ludzi z naszej emigracji jest głębsza, niż na pozór wydawać by się mogło. Widać oni w próżni między dwiema kulturami: nogami odbili się od polskiej a głową nie sięgnęli brytyjskiej. Stąd powstają sytuacje, w których np. brytyjska wolność słowa i polemiki w naszych warunkach zamienia się w niesmaczne afery dziennikarskie, negligowane aż do spodu na oczach opinii publicznej.

To ta próżnia właśnie sprzyja kwasom i goryczom, w niej wytwarza się nieobserwowane poprzednio w naszym społeczeństwie ogromne zmaterializowanie, chęć użycia, połączone z nieudolnym usiłowaniem podciągnięcia się do tutejszego poziomu. A co najsmutniejsze, w tej próżni rodzi się straszliwa obojętność uczuciowa i wyzwała się najgorszy egoizm. Ponieważ, jak się powiedziało, głowa nie sięga kultury brytyjskiej, ofiara ratuje się często zaklamaniem i napiętniej tłumaczy sobie i innym tu nabyte, emigracyjne wady.

Zmaterializowanie niektórych ludzi z emigracji, skłonność do zbierania funtów i mnożenia wszelakiego dobra można jedynie usprawiedliwić chęcią pomocy naj-

bliższym w Kraju teraz lub po wojnie. Wielu istotnie tak myśli, tak mówi i tak czyni. Ten materializm nazwałbym rozsądnym, nawet szlachetnym, ale ileż jest takich typów, które tylko na mówieniu poprzestają, nie szczczędając sobie żadnych uciech. Ten najwstrętniejszy z kamufłazy to chyba zupełne upodlenie samego siebie.

Zachodzi obawa, że cztery "łuste" lata emigracji polskiej zemścić się mogą na niej w sposób zupełnie nieoczekiwany. Wojna sprawiła już wiele niespodzianek, najgorszą byłaby ta ostatnia, która w finałowym może roku wojny wykazałaby, że właśnie te jednostki społeczeństwa polskiego, które znajdowały się przez cztery lata w najlepszych warunkach, są najbardziej tragicznie moralnymi ofiarami drugiej wojny światowej. Może jeszcze nie uszyscy potrafimy sobie tę prawdę uświadomić, może straszy ona tylko po nocach i spać niektórym nie daje. Są i tacy, którzy za dnia mówią skromnie: — "Cóż my znamy? Nic. Inni będą decydować nie my — garsteczka," a w nocy "do poduszki" pocieszają się jak umiemy: — "Inaczej będzie. Tylko my! My, którym dane było zachłystnąć się kulturą, my będziemy planować, decydować i meblować."

W tej nocnej myśli jest tylko jedno prawdziwe: dane nam było bardzo wiele — cztery lata względnie spokoju i dobrego jedzenia, a nieraz i takich wygód, jakie niektórym z nas przed tym tylko w kinie w Kraju oglądali i — powiedzmy szczerze — dla niejednego cztery lata niebardzo wyczerpującej pracy. Są także biura polskie na terenie Wielkiej Brytanii, w których urzędowanie zaczyna się o 10.30 a przerwa na lunch o 12.30.

Ci, którzy nas nie znają, spodziewają się po nas pewno wielu pozytywnych niespodzianek. W ostatnich czasach daje się zauważyć na terenie emigracji pewne zdenierowanie w związku z chęcią zgłębienia tajemnicy przyszłości naszej w wolnym Kraju. Jak się do nas ustosunkują? Jak będzie wyglądało spotkanie? Częściową odpo-

wiedzą na te drażliwe pytania dać mogą jedynie Polacy, którzy do chwili obecnej ciągle jeszcze z różnych stron świata przybywają do Wielkiej Brytanii i spotykają się z nami po raz pierwszy od r. 1939. To może być próba generalna przyszłości. Ich wzrok kryje w sobie wiele z tego spojrzenia, które padnie na nas tam w pierwszym tygodniu w Polsce.

Nie wolno ukrywać, że wielu Polaków, przybyłych tu z Rosji nie mogło przez dłuższy czas "znaleźć wspólnego języka" z niektórymi ludźmi z polskiej emigracji na terenie Wielkiej Brytanii. Nie wolno ukrywać, że byli jeńcy polscy z Niemiec, którzy przybyli na tę wyspę po ciężkich latach niewoli i wielu tragicznych przejściach, nie tają swego zdziwienia, a czasem głębokiego rozczarowania, już przy pierwszym zetknięciu się z tym z biegiem spraw polskich, czy ze sposobem myślenia emigracji. Wiele rzeczy ich przeraża, wielu rzeczy po prostu... nie rozumieją.

Przypominam sobie, jaką ogromną wrzawę wywołał ogłoszony w "Polsce Walczącej" artykuł Jacka Lisa, który przybył z niewoli niemieckiej do Wielkiej Brytanii. Tytuł artykułu brzmiał: "Nie rozumiem." Obecnie ten sam autor umieścił w numerze 34 "Polski Walczącej" przejmujący artykuł: "Protestuję." Były jeńcy protestuje przeciw obojętności, jaką emigracja zdradza wobec dołi jeńców polskich, pozostających w niewoli niemieckiej.

W tym właśnie miesiącu, w którym rozpamiętywamy jeszcze raz pierwsze dni wojny polskiej, tragicznej, ofiarnej, rzecz sumienia będzie odbudowanie w sercach związku z jeńcami polskimi. Tyś się zapamiętaj do tej chwili "Oflagi" i "Stalagi" niemieckie. Żyj tam i czekaj "wrzesniowcy," żołnierze polscy z "bitwy o Francję," lotnicy nasi z Anglii.

Uprzymiśnijmy sobie, że "wrzesniowcy" trwają za drutem kolczastym od roku 1939. Zastanówcie się 1939 — 1943. To dla niektórych stracone najpiękniejsze lata młodości, dla wielu

najcenniejsze lata wieku męskiego, dla innych to pierwsze lata siwizny. Wszystkie wieści z obozów jeńческих potwierdzają, że Polacy za drutem kolczastym to wzorowi żołnierze i obywateli; mówi się, że nawet Niemcy znajdują czasem słowa uznania dla ich postawy moralnej.

Protest Jacka Lisa przyszedł w porę. Może nastrój wrzesnia roku 1943 otrzeźwi nas i pobudzi serca. Niejeden może ograniczyć swoje "klusownicze" wyprawy kinowo-dancingowe a szylingi systematycznie, codziennie niemal wydawane na jakąś rozrywkę, raz w tygodniu choćby przeznaczy na pomoc kolegom w niewoli niemieckiej. Nie jak dobroczyńca, nie jak taskawy ofiarodawca. Po prostu jak obywatel, jak przyjaciel...

Jack Lis pisze nie ukrywając prawdy, pisze uczciwie: "Jeżeli idzie o prywatne zainteresowanie się losem tych, którzy od blisko czterech lat czekają w zamknięciu niemieckich obozów, odcięci od wszystkiego, co stanowi smak i wartość życia — mało kto tutaj poświęca im dostateczną uwagę i zainteresowanie. W najlepszym wypadku opodatkowuje się może miesięcznie na rzecz tych nieszczęśliwców i zdobywa kosztem ewentualnego funta czyste sumienie i poczucie, że zrobił swoje..."

Ale stwierdzam, że wszystko co się robi tutaj dla jeńców jest niedostateczne, nie dość powszechne, nie dość przenikające w całe społeczeństwo polskie na obczyźnie, mające w obecnych czasach niebawmy przywilej życia na wolności w porównaniu z Krajem, z Rosją, z obywatelami w Niemczech...

O tak, mamy przywilej. Co więcej zbyt często nadużywamy tego przywileju. Autor słusznie zarzuca Polakom z emigracji tutejszej zupełny brak znajomości życia jeńców, zupełny brak odczucia i zrozumienia duszy jeńca wojennego. Słusznie protestuje Jacek Lis przeciw szerzącej się skłonności uważania jeńców za ludzi niepełnowartościowych, zacofanych i spóźnionych w porównaniu z tymi znakomitymi rodakami, którzy cieszyli się przywilejem wolności i innymi specjalami na terenie Wielkiej Brytanii. Ten płomienny

artykuł podkreśla wyraźnie twarde wole jeńców: wole przetrwania i dotrwania. Autor wskazuje słusznie na głęboką przemianę społeczną, która dokonywa się wśród Polaków za drutem kolczastym.

W spojrzeniu człowieka, który przybył stamtąd kryje się poważny wyrzut w naszą stronę. Wyrzut w pełni uzasadniony. Niewątpliwie stępieliśmy wyraźnie. Wystarczy przegłądnąć teraz od czasu do czasu ostatnią stronę "Polski Walczącej" z wykazem datków na rzecz pomocy Polakom w Rosji i porównać z numerami choćby z roku ubiegłego, by się przekonać, że równocześnie niemal z zerwaniem stosunków dyplomatycznych pomiędzy Polską a Z.S.R.R. rodacy nasi w Wielkiej Brytanii zrezygnowali zbyt łatwo i zbyt szybko z dalszych ofiar materialnych na rzecz pozostałych daleko braci.

Właśnie ta łatwość rezygnacji i zapomnienia jest może najbardziej przerażająca. W tej łatwości czai się niebezpieczeństwo... "bumerangowe." Nie rezygnujemy tak szybko i zacznie z setek i tysięcy rodaków, którzy utracili wolność, bo łatwość z jaką to czynimy zemścić się może na nas samych. Możemy się kiedyś dowiedzieć z przykrym zdziwieniem, że ktoś nie liczy na nas, że ktoś przekreślił naszą pozycję np. z powodu nadużycia przywileju wolności.

Pozostając pod głębokim wrażeniem artykułu Jacka Lisa, apeluję do wszystkich Czytelników, do Kolegów z wszystkich broni, do cywilów wszystkich stopni o stałe poświęcenie raz w tygodniu jednej rozrywki na rzecz skromnego datku, który pod nowym zawołaniem: "Paczki od serca" można już zaraz przesyłać na adres "Polski Walczącej." Wiem, że jakaś obojętność gdzieś może wzruszy w tej chwili ramionami i syknę: "Znowu zbiórka," wiem, że jakieś wygódnictwo zawoła: "Przecież już mi strącają z żołdu." Nie szkodzi. Rzecz sumienia. Tym, co nie rozumieją i nie odczuwają słów Jacka Lisa wyrzutów czynić nie należy: wiszą w próżni...

WIKTOR BUDZYŃSKI

P.S. Zamiast rozrywek we wrzesniu przekazuję £1 na dwie pierwsze "paczki od serca."

GENERAŁ SIKORSKI WE LWOWIE WE WRZESNIU 1939

Szanowny Panie Redaktorze, Rozpoczęte w ostatnim /35/ numerze "Polski Walczącej" p.t. "Z Lwowa do Francji" wspomnienia p. Antoniego Bogusławskiego zawierają pewne szczegóły, które tak ze względu na osobę s.p. generała Sikorskiego, jak i przez wzgląd na prawdę historyczną, winny być sprostowane. Czynieć jako ten, który stał wówczas bardzo blisko Generała.

Sprostowanie moje dotyczy następującego ustępu wspomnień p. Bogusławskiego z pobytu gen. Sikorskiego we Lwowie w dniu 11 września 1939 r.:

"Przed południem odwiedzili Generała przedstawiciele ówczesnej opozycji politycznej. Omawiano różną koncepcję polityczno-obronną. Przy rozmowie tej nie byłem, ale po wyjściu Generał powiedział mi: — Namawiano mnie na zamach stanu..."

Relacja p. Bogusławskiego, prawdziwa co do faktu propozycji dokonania zamachu stanu, stawianej gen. Sikorskiemu, jest całkowicie nieścisła co do tego, jakoby z taką propozycją wystąpili wobec niego "przedstawiciele ówczesnej opozycji politycznej." Nie wiem na czym p. Bogusławski opiera swe twierdzenie, w każdym razie jego źródłem nie może być cytowane przezeń wypowiedzenie gen. Sikorskiego, które jest całkowicie ogólnikowe.

Faktyczny stan sprawy był tymczasem następujący:

11 września przed południem gen. Sikorski omawiał wytworzoną nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń wojennych sytuację z grupą przyjaciół, których m.in. informował o dokonywanych bez przerwy od dnia wybuchu wojny zabiegach nawiązania łączności z marsz. Śmigłym-Rydzem, aby uzyskać odeń odpowiedź nie na dwa, jak pisze p. Bogusławski, ale na trzy pisma /pierwsze wysłane było nazajutrz po podpisaniu paktu niemiecko-sowieckiego, tj. w dniu 24 sierpnia/, w których odawał się do jego dyspozycji. W rozmowie tej poza gospodarzem mieszkającym, uczestniczyli: gen. Haller, gen. Kukiel, nieżyjący już dzisiaj płk. Stefczyk i ja.

Pod koniec rozmowy zjawiał się p. Zygmunta Nowakowski i on to, przedstawiając w patetycznych słowach, grozę położenia ogólnego, zapropomował gen. Sikorskiemu, aby wobec faktycznego załamania się centralnego ośrodka władzy państwowej, utworzył wraz z gen. Hallerem i gen.

W SPRAWIE POMOCY JEŃCOM POLSKIM W NIEMCZECH

Niniejszym zwracamy się z gorącym apelem o pomoc w akcji, prowadzonej przez "Sekcję Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym" Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet Polskich w Zjednoczonym Królestwie.

Działalność tej Sekcji polega na nawiązaniu i utrzymaniu korespondencji, oraz przesyłaniu paczek papierosowych tym jeńcom wojennym, którzy dotychczas nie otrzymują indywidualnej pomocy z zagranicy. Jeńców takich w obozach niemieckich jest wielu, adresy ich otrzymujemy za pośrednictwem P.C.K. i innych źródeł. Wśród nich są tacy, którzy od chwili zamknięcia ich w obozie nie otrzymali ani jednego listu, ani jednej indywidualnej paczki od kogokolwiek. Ich wytrzymałość duchowa, w ciężkich warunkach kilkuletniej vegetacji w niewoli jest heroiczna i tym bardziej zasługuje na najwyższą troskę. Ich stan fizyczny przy głodowych racjach żywnościowych woła o ratunek. Trzeba im pomóc. Trzeba, żeby wiedzieli, że ktoś się o nich troszczy. Takim widocznym znakiem troski jest — "Paczka dla mnie."

Przesyłka indywidualnych paczek papierosowych nie jest dotychczas ograniczona kontyngentem, a więc nie stoi w kolizji ani z paczkami indywidualnymi od rodzin, ani z paczkami zbiorowymi, wysyłanymi dla jeńców przez P.C.K. Jeśli więc poza tymi rodzajami pomocy dla jeńców można przesłać coś więcej to w chwili, kiedy drogi pomocy dla cierpiących rodaków coraz bardziej się zamykają, nie powinniśmy pomijać tej okazji. Tym bardziej, iż przesyłka paczek indywidualnych to nie tylko bezpośrednie ulżenie dołi jeńców wojennych, ale i ich rodzin w Kraju. Ponadto przesyłka paczek indywidualnych stanowi pomoc nie tylko osobistą, ale i wzmacnia dopływ pomocy ogólnej, gdyż jak nam wiadomo z listów od jeńców, ci, co mają więcej, dzielą się z tymi co mają mniej. Papierosy w obozie to pieniądź.

Niech nikt nie zaśnawia się tym, że ma już pod opieką kogoś ze swej rodziny lub znajomych. Niech każdy przyczyni się ponadto do ulżenia losu tych, którzy nie otrzymują pomocy od rodzin i znajomych. Za pieniądze otrzymywane dziś

London, dnia 6 września 1943 r.

Karol Popiel

Wielka Brytania Kraj-Ustrój-Kultura

Stron 300, 1 mapa. Cena 12sh. Do nabycia u wydawcy: "Książnica Polska," 272, Hope Street, Glasgow, oraz we wszystkich księgarniach polskich.

Skrzynka pocztowa

— jutro wysyłane są paczki za pokwitowaniem P.C.K., które są w naszym posiadaniu dla kontroli. Wszelkie czynności administracyjne związane z tą akcją spełniane są honorowo przez "Chrześc. Matki." Koszta techniczne pracy Sekcji pokrywane są przez Stowarzyszenie Służby Społecznej.

Wszystkie datki pieniężne używane są wyłącznie na paczki. Każda ofiara jednorazowa lub systematyczna przyczyni się do zwiększenia ich liczby. Ofiary prosimy kierować w formie Postal Order lub Mon. Order na ręce Skarbniczki Sekcji p. Krystyny Meissnerowej 47B, Roland Gardens, S.W.7, względnie za pośrednictwem "Polski Walczącej" z zaznaczeniem "Dla Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym."

Prezesa Stowarzyszenia /—/ Wanda Grabińska

Przewodnicząca Sekcji /—/ Zofia Gergovichowa

DO DOWÓDCY 6-TEJ DYWIZJI GEN. TOKARZEWSKIEGO

Gdy rok temu w Samarkandzie w domu sierocińca, siedzieliśmy przy swych tobołkach — złamani, oczekujący z niepokojem zawiadomienia z Dowództwa Dywizji o dalszym losie, gdy na okęcie "Kaganowicz" wśród rzeszy kilkudziesięciu rodzin wojskowych, siedząc głową przy głowie prawie zamglonymi oczami, szukaliśmy Cię Panie Generale! Organizm słaby, wycieńczony, mózg anemiczny z trudem przypominał imiona najbliższych, pozostawionych w Kraju, serce, pełne wdzięczności, przy Tobie tylko, Panie Generale.

Dziś po roku, rozproszeni po Afryce, Indiach i Persji, szukamy Cię znowu oczami swej duszy. Ale nie tylko po roku, i po dziesiątkach lat serca nasze przykute są do Twej postaci.

Jeśli jest niejedno istnienie ludzkie uratowane przez Ciebie znaczny krzyżem przydrożnym swój powrót do Kraju, niejedno zostanie tu, wśród dżungli afrykańskiej — reszta uratowanych dzięki Twej opiece stały się na rozkazy, tej co "Nie zginęła"! a czeka nas.

Cześć Ci Panie Generale! Rodziny Wojskowych wywiezione z 6-tą Dywizją Tengieru via Arusha /Afryka Wschodnia/, dnia 15 sierpnia 1943 r.

JESZCZE O HUMORZE ANTYNAMIEMIECKIM

Drogi Redaktorze,

W artykule "Także walka z Niemcami" w nr. 31 "Polski Walczącej" napisałem, że "Simplicissimus" pozabawiony żądą zdrowej satyry został zlikwidowany. Informacja ta tyczyła jednak nie "Simplicissimusa," ale pisma humorystycznego pod nazwą "Kladderradatsch." "Simplicissimus" natomiast pozabawiony żądą zdrowej satyry wychodził jeszcze do niedawna, u tego samego nakładcy co w czasie Republiki Weimarskiej a nawet przed wojną światową, a mianowicie — Knorr & Hirth, Kommanditgesellschaft, München. Również i grono współpracowników pozostało na ogół to samo. Wystarczy, że wspomnę tu tylko kilku karykaturzystów, jak słynnego Olafa Gulbransona, H. Kley'a, Wilhelma Schulza, O. Herrmanna, E. Thöny'ego, A. Kubina, a z pisarzy — Heinza, Scharpfa, Schlehordna, Rataöskr'a, P. Shera i t.d.

Tak tedy pismo to, które przez dziesiątki lat ostrą satyrą w słowie i rysunku zwalczało rządy cesarskie i republikańskie, militarizm i wszelkie objawy wstecznictwa niemieckiego, obecnie w tym samym nakładzie i w niezmiennym prawie zespoł redakcyjnym służy celom propagandy hitlerowskiej. Fakt ten podkreślić należy jako znamienny dla psychiki całego narodu niemieckiego, nie wyliczając elementów, które pragnęły dawniej uchodzić za najbardziej postępowe.

Informator mój komentuje podany przeze mnie dowcip o rozmowie Hitler-Pétain uważa, że urodziła się ta anegdota nie w Niemczech, ale w Budapeszcie. Oryginał jej pointe'a brzmi jakoby: Hitler do Pétain'a: "Kaffee, oder wollen sie lieber Tee?" Na to Pétain: "Liberté."

Nie chcąc zakończyć tego listu bez dodania jeszcze jednego kawału prosto z Francji. Ogonek ludzi przed sklepem rzeźnika. Niemiecki żołnierz, korzystający z przywileju Herrenvolku — kupuje poza kolejką i wychodząc ze swoim befsztykiem rzuca czekającym pogardliwą uwagę:

— Wy Francuzi niedługo i tak będziecie gryźć trawę.

— Z tą różnicą — pada odpowiedź — że wy ją gryźć będziecie par en dessous, od dołu.

Z poważaniem

Aleksander Janta

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,801

MARYNARKA WOJENNA — POLAKOM W ROSJI

Oficerowie, podoficerowie i marynarze Polskiej Marynarki Wojennej przekazują £200 /słownie: funtów dwieście/ na pomoc Polakom w Rosji.

Polacy w Southfield Sanatorium przesyłają £41.0 /cztery funty i jeden szyling/ na pomoc Polakom w Rosji.

Ks. St. Stepien, St. Stanislaus Rectory, 9, Eld Street, New Haven, Conn, przesał £42.9 na pomoc Polakom w Rosji.

Zamiast na Msze za spokój duszy Brata mego, przekazuję 10 sh. na Fundusz Pomocy Polakom w Rosji.

Przesyłam 10 sh. na Pomoc Polakom w Rosji w 6-tą rocznicę śmierci

brata mego s.p. plut. pch. pilota Tadeusza Str. zamiast kwiatów na Jego grób.

Zamiast kwiatów na grób s.p. Halusi Wawreckiej przesyłam sh.10 dla Polaków w Rosji.

Zamiast kwiatów na trumnę s.p. strzel. Filocha Bronisława z Baonu Strzelców Podhalańskich — na sieryoty po wojskowych Dowódca Baonu £1, bezimiennie sh.10.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £211.3.9 /słownie dwieście jedenaste funtów, trzy szylingi i dziewięć pensów/ przekazał mi Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi

ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,801.10 /słownie: dziewięć tysięcy osiemset jeden funtów, jeden szyling i pół pensa/, 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5 dolarów amerykańskich, 15 czerwieniów i 100 milrejsów brazylijskich.

PACZKI OD SERCA

Wiktoria Budziński /por. "Bez blackoutu" w bież. numerze/ £1.
Redakcja "Polski Walczącej" £1.
Sumę £2 przekazał mi Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym — Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet /por. apel Sekcji w "Skrzynce pocztowej"/.

POSZUKIWANIA WYKAZ Nr. 32

Osoby te jak również ich znajomi posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

19. Grodzki, strzelec — poszukiwany przez rodziców Józefa i Jadwigę w Rosji /3800/26/.

20. Gwiżdza Stanisław, ppor. rez. inż. mar. — poszukiwany przez żonę Zofię i syna Andrzeja w Rosji /3800/34/.

21. Jakusik Dominik, strzelec — poszukiwany przez żonę Annę i dzieci: Reginę, Adolfinę i Mieczysława w Rosji /3800/18/.

22. Jurawicz Franciszek, sierż. — poszukiwany przez żonę Marię i dzieci: Romualda, Irene i Danutę w Rosji /3800/18/.

23. Kaplański Henryk, ppor. — poszukiwany przez matkę Paulinę, bratową Marię w Rosji i brata Władysława — san. w Iraku /3800/18/.

24. Kolodziejczak Wacław — poszukiwany przez żonę Lubę w Rosji /3800/10/.

25. Krocmański Jan, ppor. rez. — był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Serafinę i syna Jana w Rosji /3800/4/.

26. Król Jan, kpr. — poszukiwany przez żonę Marię i dzieci: Henryka, Mieczysława, Mariana w Rosji, oraz syna Kazimierza szer. w Iraku /3800/17/.

27. Kucharczyk Zygmunt, szer. — poszukiwany przez matkę Walerię, siostrę: Marię i Danutę oraz babkę Lenkiewicz Józefę w Rosji /3800/17/.

28. Kupać Wacław, por. — poszukiwany przez żonę Zinaidę i syna Zbigniewa w Rosji /3800/10/.

29. Kurek Franciszek, sierż. — poszukiwany przez żonę Annę, dzieci: Halinę, Marię i Franciszka w Rosji /3800/26/.

30. Lesiowicz Paweł, ppor. rez. — poszukiwany przez żonę Jadwigę w Rosji /3800/4/.

31. Lipner, st. wachm. zand. — poszukiwany przez żonę Józefę w Rosji /3800/4/.

32. Makarewicz Włodzimierz, plut. — poszukiwany przez żonę Janinę w Rosji /3800/4/.

33. Maliszewski Władysław, plut. — poszukiwany przez żonę Nadzieję i dzieci: Jadwigę i Zdzisława w Rosji /3800/11/.

34. Marcisz — bosman — poszukiwany przez żonę Zofię, synów Bohdana i Zdzisława w Rosji /3800/25/.

35. Masło Jan, por. — poszukiwany przez żonę Wandę i dzieci: córkę Annę, syna Dariusza /3800/34/.

36. Mazur, podof. — poszukiwany przez żonę Janinę i syna Ryszarda w Rosji /3800/25/.

37. Mazur Józef, bosman — poszukiwany przez żonę Marię i syna Czesława w Rosji /3800/34/.

38. Mielnicki Andrzej, kpt. — poszukiwany przez żonę Adelajdę i córkę Olę w Rosji /3800/4/.

39. Mikułski Eugeniusz, był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Stanisławę, dzieci: Krystynę i Stanisława w Rosji /3800/34/.

40. Moczydłowski Konstanty, ppor. rez. — poszukiwany przez żonę Helenę, synów Gustawa i Tadeusza w Rosji /3800/35/.

41. Motkowski Kazimierz, kpt. — poszukiwany przez żonę Reginę i córkę Irenę w Rosji /3800/4/.

42. Miller Bohdan — poszukiwany przez żonę Bronisławę i synów: Ryszarda oraz Kazimierza w Rosji /3800/4/.

43. Moreliński Ryszard, st. ogn. — poszukiwany przez żonę Weronikę, synów: Romana, Mieczysława i Witolda oraz teści. Regorzyc Julię w Rosji /3800/17/.

44. Niewiar Cyryl, kpr. — poszukiwany przez żonę Marię, córkę Annę w Rosji /3800/25/.

45. Niezgoda Władysław, por. był w Kozielsku — poszukiwany przez żonę Paulinę w Rosji /3800/4/.

46. Neiken Jan, dr. pik. — poszukiwany przez por. Zboińskiego Tadeusza /5290/.

47. Nizon Jerzy — poszukiwany przez brata Mikołaja ppor. Paiforce 106 /5303/.

48. Nowacki Franciszek, st. ogn. — poszukiwany przez żonę Wandę i córki: Irenę i Elżbietę w Rosji /3800/35/.

49. Nowak Antoni, st. sierż. — poszukiwany przez żonę Jadwigę i dzieci: Danutę, Barbarę, oraz Zbigniewa w Rosji /3800/4/.

50. Nowakowski Michał, st. mar. — poszukiwany przez żonę Eugenię i syna Mieczysława oraz Małyńską Marię w Rosji /3800/34/.

51. Nowotko Edward, kpt. — poszukiwany przez żonę Stanisławę, dzieci: Marię i Edwarda w Rosji /3800/5/.

Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie

Przesyłam książki w/g. załączonego wykazu, z prośbą o przesłanie tychże dla Żołnierzy Polskich na Bliskim Wschodzie.

Załączonych 61 książek w języku polskim i 10 książek w języku angielskim.

Bezimiennie przysłane: R. Vansittart: "Czarny rejestr." "Chrześcijański ustrój społeczny."

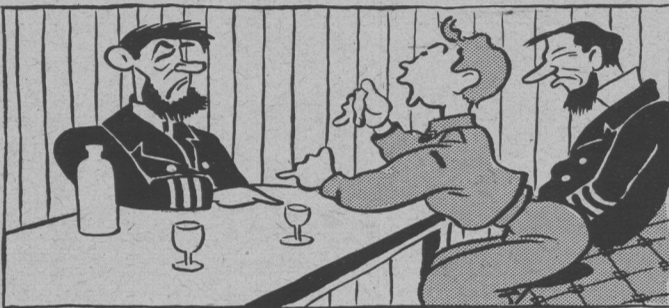
Kpr. F. N. przesał sz.10 — na zakup książek dla żołnierzy na Bliskim Wschodzie. Za pieniądze te zakupiliśmy jeden egzemplarz Wojciechowskiego: "Historia literatury polskiej."

Od żołnierzy obozu lotniczego w K... przysłano 21 podręczników języka angielskiego z przeznaczeniem dla Trzeciej Polskiej Dywizji na Środkowym Wschodzie.

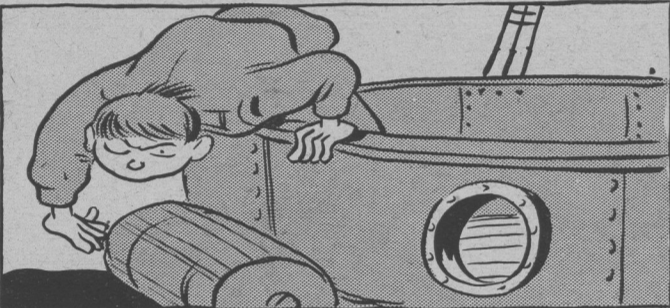
Bezimiennie 23 książki dla żołnierzy polskich na Bliskim Wschodzie.

Dotychczasowa suma zbiórki wynosi 2391 książek.

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



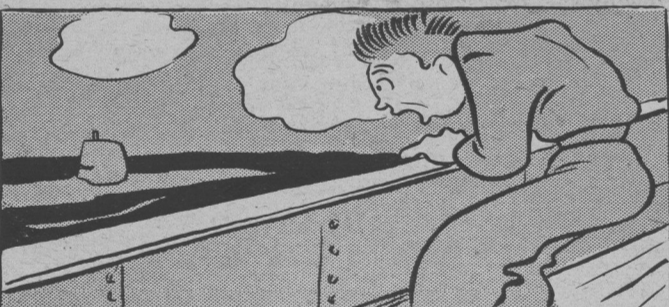
Za Islandią Walenty Popił sobie /to modne/ I oświadczył, że będzie Topić łódzie podwodne.



Poszedł szybko na rufę No i suszył tam głowę, Jak odczepić tak zwane Bomby dwie, "głębinywe."



Bomby poszły! Za rufą Trysty wody fontanny, A Walenty już sądził, Ze śmiertelnie jest ranny ...



Myślał nawet przez chwilę Nad swą śmiercią i zgubą, Kiedy z fal się wynurzył ... Nie wieloryb, lecz -U-boat!



Uszkodzona łódź szwabska Poszła na dno powoli, A załoga bezpiecznie Dziś przebywa w niewoli.



Potem Pompkę przyjęto Kolacyjką dość gwarną, A dowódca konwoju Dał mu ... Gwiazdę Polarną.

ZE ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R.P.
Zważywszy, że w swej kampanii przeciwko redaktorowi Zygmuntowi Nowakowskiemu "Dziennik Polski" powołuje się na cytowanie przez prasę niemiecką artykułów redaktora Nowakowskiego, oraz że "Dziennik Polski" usiłuje z tego tendencyjnego cytowania ukuć zarzut mierzący w patriotyzm i honor kolegi Nowakowskiego,
Zarząd Związku Dziennikarzy R.P. Sekcja w Londynie na zebraniu w dniu 2.IX.1943 w nieobecności kolegi Nowakowskiego jednogłośnie potępił takie metody polemiczne jako niedopuszczalne.
Zarząd

SPIS RZECZY:
Michał Kwiatkowski: Dlaczego? — Otto Maciąg: Szkockie wybrzeże /drzeworyt/. — Zbigniew Grabowski: Szkic sytuacyjny. — Z tygodnia na tydzień. — M.J. Gordon: Nowości lotnicze. — Stanisław Zieliński: O tej godzinie w Polsce — Ludzie z innego świata pojęć. — Antoni Bogustawski: Ze Lwowa do Francji /II/. — Arnold Jaskowski: Armia polska na Wschodzie /II/. — Julian Ginsbert: W obronie czystości słownictwa. — Dominik Szczerbic: Romaitości wojskowe. — Wiktor Budziński: Bez blackoutu. — Skrzynka pocztowa. — Pomoc dla Polaków w Rosji. — Zbiórka na "Paczki od serca." — Poszukiwania i adresy. — Zbiórka książek dla żołnierzy polskich na Wschodzie. — Ryszard Póbob: Przygody Walentego Pompki /rysunki Mariana Walentyńowicza/. — Fotografie.

POSZUKIWANIA
RACŁAWSKI Stanisław, P/54, poszukuje żony BRONISŁAWY, córki HELENY, JANINY, synów ZDZISŁAWA, KAZIMIERZA, JÓZEFA, brata KAZIMIERZA oraz rodziny.
Powyżsi zamieszkiwali ostatnio: Świerdłowska Oblast, Rewidyński rejon, Dektiarka Konny Dwor, Barak 33, poczta Sowgorod.
Franciszek ROZWADOWSKI, P/36 P.F. poszukuje ANDRZEJA ROZWADOWSKIEGO z DOŁPOTOWA.
LEON JERZY KRZYWICKI, który był wywieziony jako jeńiec wojenny do Rosji jest poszukiwany. Wszelkie informacje prosimy nadsyłać do Admin. "P.W." pod "Inż.A.K."
KAROL WAGNER z rodziną, właściciel dóbr Wielkie Soleczniki z powiatu Wileńsko-Trockiego, oraz ppor. JURONSKI WACŁAW, wyjechał we wrześniu 1942 r. na studia do Wielkiej Brytanii. Wiadomości proszę kierować do redakcji "Polski Walczącej."

B. Prus.
"LALKA"
w dwóch tomach
925 str. Składnica Księgarska: 1, Atholl Place, Edinburgh
cena 25/- za całość

Ukaż się nr. 35
"PORADNIKA DLA PRACOWNIKÓW ŚWIETLIC ŻOŁNIERSKICH,"
wydawnictwa Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii.
Na treść numeru składają się: wspomnienia poświęcone Generalowi Władysławowi Sikorskiemu i Zofii Leśniowskiej, artykuły omawiające metodyce pracy świetlicowej /B.Ch., L.B., E. Michalskiego, J. Święcickiej, E. Federowicza, J. Wojciechowskiej/, a wreszcie piosenki kompozytorów-żołnierzy, M. Formanowicza, C. R. Halskiego, W. Gruski, W. Mireckiego. Całość uzupełniają liczne fotografie i ilustracje.

THE GERMAN ARMY OF TO-DAY
The Handbook for the Invasion
By WILHELM NECKER
The most complete and up-to-date account of the German Army yet published. The book every serving officer, N.C.O. and Home Guard must have.
ILLUSTRATED — 6s.
LINDSAY DRUMMOND, LTD.

MASZYNY DO PISANIA
KUPNO, SPRZEDAŻ I ZAMIANA
Klawiatury we wszystkich językach. Reperacje wszelkiego rodzaju, jak również wiecznych piór wszystkich systemów.
UNITED TYPEWRITER & SUPPLY CO., LTD.,
70, New Oxford Street, London, W.C.2.
Telefon: Museum 0131-2.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1, Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fieds, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Gillette
zaoszczędza stali
gdyż można się nią ogolić lepiej i znacznie więcej razy